

# odgłosy



Nr 14 (428)  
9. IV. 1967 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

JAN KOPROWSKI

Kartki z podróży

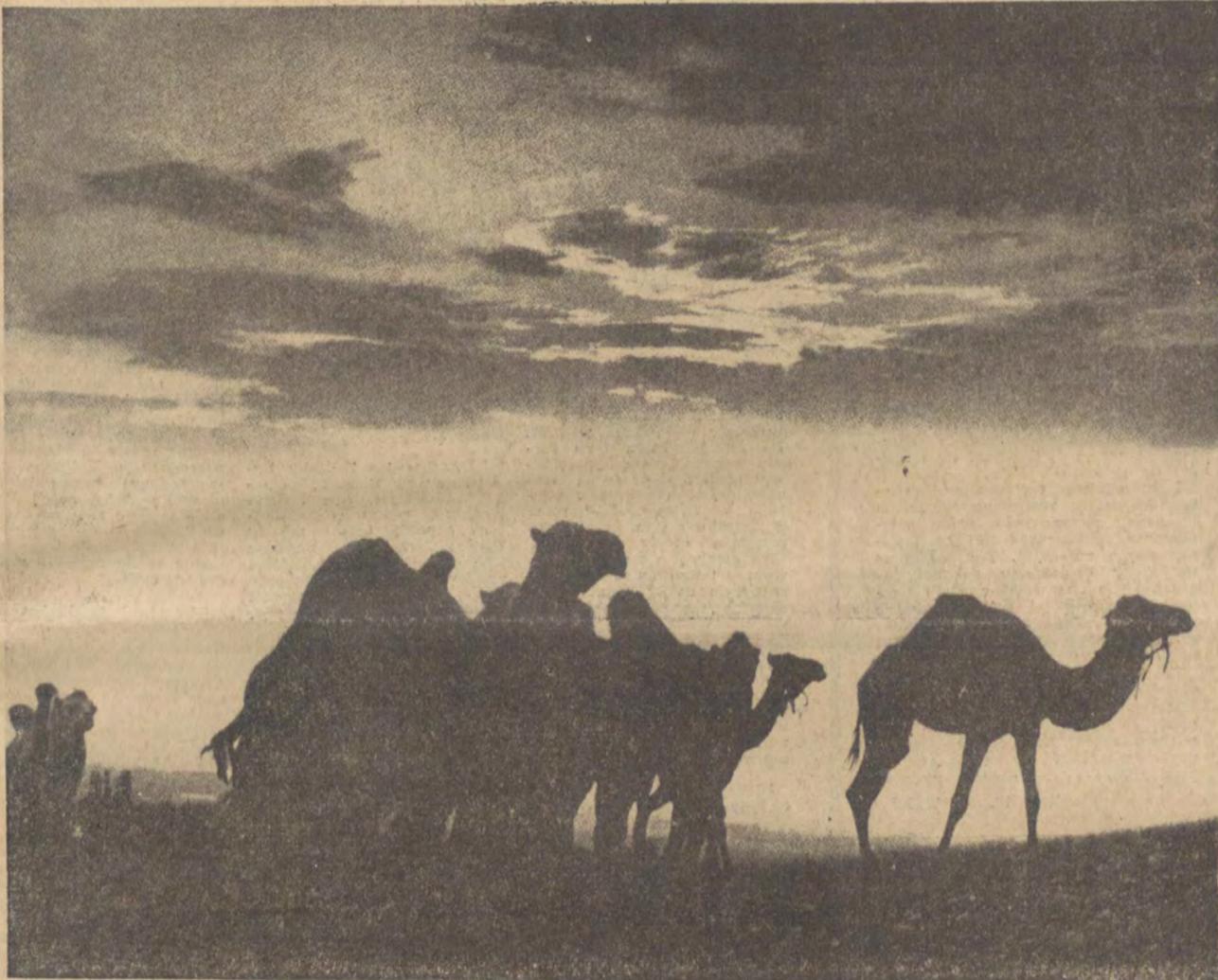
## W BEJRUCIE

Nigdy nie byłem w Libanie. Nigdy nie przypuszczałem, że pojadę kiedykolwiek do Libanu. Wyjazd nastąpił nagle i w okolicznościach najmniej oczekiwanych. Ale nie każda niespodzianka, która zaskakuje, sprawia nam przykrość. Tym razem stało się wprost przeciwnie. Podróż na Bliski Wschód była odkryciem światła, którego nie znałem i o którym nie miałem żadnego wyobrażenia.

Wylecieliśmy samolotem z Warszawy 23 marca br., o godzinie siódmej rano. Nie był to mój pierwszy lot w życiu, a jednak za każdym razem, gdy wypadnie mi odbywać podróż samolotem, współistnieją we mnie dwa konfliktowe uczucia: podziwu i obawy, zachwytu i lęku. Samolot wznoszący się na wysokość siedmiu tysięcy metrów i lecący z szybkością 650 kilometrów na godzinę cudownie skraca odległość. Rano byliśmy jeszcze w Warszawie, a wieczorem tego samego dnia już w Bejrucie. Po drodze krótki postój w Wiedniu (po latach moje ponowne spotkanie z tym miłym miastem i Dunajem) i pięciogodzinna przerwa w Atenach. Lecieliśmy nad Olimpem i Salonikami w czas pięknej pogody, pod oślepiającym słońcem i niezmaconym błękitem nieba. A przecież ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość możliwości niebezpieczeństwa. Odpychałem od siebie te myśli, starałem się pozbyć lęku — nadaremno. Technika jest rzeczą wspaniałą, ale człowiek będący w jej mocy wydaje się tak mały, tak bardzo zależny od sił, które sam powołał do istnienia.

Pora wszakże porzucić te dywagacje i wyjaśnić czytelnikowi, po co i w jakim charakterze znalazłem się w Libanie. Nie byłem tam w pojedynkę. Wraz z Wojcie-

Dalszy ciąg na str. 4



ANDRZEI MAKOWIECKI

## PLAC STU POLEGŁYCH

Nazywa się Janina Rychter. Jest jednym z naocznych świadków. Teraz ma twarz zmęczoną, strawioną cierpieniem. Jej oczy są przepalone, bez blasku. Jej głos załamuje się na półtonach i drży, jak u bardzo starych ludzi.

Mówi, że wszystko tu tak samo — ubytki w ścianach, dziury w płocie, furtka ciasna, zmuszająca, drzwi niskie, kamienne schody do pierwszego piętra, a dalej, na strych, schody drewniane, skrzypiące pod nogami. Ten sam, nawet, lakier na poręczach, czerwony i śliski. Ten sam dymnik — wyjście na dach — spry-

skany białą farbą, ze skrytką głęboką pod sufitem, w której Mierzyński przechowywał broń, i w którą rękę po lokcie włożyłem wyzywając pod palcami wilgoć.

Tyle, że ulica, przy której jest ten budynek, nazywała się wtedy inaczej: Herman Goeringstrasse.

Rok 1942. Szósty marca. Godzina piąta po południu. W Zgierzu o tej porze zamierał na ulicach ruch. Rychterowa powracała ze sklepu, gdzie miała kupić prezent urodzinowy dla siostrzeńca. Pod furtką zobaczyła policyjny wóz. Szofer w mundurze palił papierosa i patrzył tępym wzrokiem w jezdnię. Z okna na parterze wyglądała sąsiadka Rychterowej. Była przerażona. Powiedziała osłaniając usta ręką, że dom obstawili gestapowcy, że są teraz na strychu i szukają tam broni, i przyprowadzili skutego w kajdany Mierzyńskiego.

Mierzyński mieszkał kiedyś w tym domu. Na pierwszym piętrze. Naprzeciw Rychterowej. Był sierżantem WP i od paru miesięcy śledził w łódzkim więzieniu na Sztetlinga. Ale aresztowali go bez broni. A przecież polski podoficer musiał mieć broń. Gdzie jest ta broń? On powiedział, że pokaże, jak zawiozą go do Zgierza, na ulicę Herman Goeringstrasse.

Rychterowa weszła powoli na pierwsze piętro. Gestapowcy pilnujący Mierzyńskiego na strychu usłyszeli, jak otwiera drzwi. Jeden wychylił się przez poręcz. Obrzucił ją przekleństwami. Powiedział, żeby weszła do mieszkania i wychodzić jej nie wolno pod żadnym pozorem. Weszła. Oparła się o drzwi.

Nasłuchiwała odgłosów z góry. Niemcy szwargotali wściekle szurając ciężkimi podkutymi buciorami. Usłyszała słumiony głos Mierzyńskiego. To musiało wyglądać tak:

Na strychu gestapowcy rozkuli Polaka. Jeden stanął pod ścianą, bo tam później były ślady kul. Drugi stanął przy schodach odcinając więźniowi odwrót. Mierzyński wszedł na drabinę, która prowadziła do dymnika. Włożył rękę w schówek. Wyczuł zimno stali. Ale nie dał po sobie poznać. Udawał, że broni jeszcze nie znalazł. Myślał. Gorączkowo. Gestapowcy zaczęli się niecierpliwie. Ten przy schodach kłął długimi wążkami, a ten pod ścianą wpatrywał się czujnie w Polaka oczami zwężonymi z nienawiści.

— Schneller! — krzyzceli. — Schneller, schneller!

Wiec szukał niby w pośpiechu. Ale pistolet miał już w ręce. Drugą ręką wspierał się o sękały szczebel drabiny. Odbezpieczył broń, maskując to seria suchego kaszlu. Myślał o tym, z dołu, w samochodzie. Ulicą nie można. Ale można przez ogrody. Z tego miejsca na drabinie, przez szyby małe, przybrudzone, widać rzędy nagich drzew i czarne przeszkody z plotów. Wszuchal się w odgłosy domu. Na klatce było pusto. Z ulicy, może z ogrodu, zanosił się ktoś śmiechem.

— Jest — powiedział. Odprężył twarz. Wyciągnął pistolet trzymając go luźno w dłoni. Ten spod ściany wyrwał się do przodu nastawiając rękę.

Strzelił do tego spod ściany. Ten przy schodach zamarł w osłupieniu i dostał między oczy. Stoczył się ze stopni, głową w dół, bryzgając krwią. Ten pierwszy jeszcze żył. Szamotał się wściekle wyrwijąc spod siebie pistolet. Padł jeszcze jeden strzał.

Rychterowa otworzyła drzwi. Zobaczyła Mierzyńskiego; zbiegał ze schodów po trzy, cztery stopnie. Był błydy i nie powiedział do niej ani słowa. Zapamiętała jego spoźnię, granatowe, ostrzeżone w nogawkach i skórzana, czarna kurtkę, którą przerzucił przez ramię. Jak, którzy uciekali — nie wiedziała. Było jej źle, słabo. Wróciła do mieszkania, rzuciła się na łóżko.

Potem w domu powstała panika. Otworzyły się mieszkania zajmowane przez Niemców. Fala szwargotliwych głosów powędrowała drewnianymi schodami na strych. Trzęchę ciszy. I znowu histeryczny niemiecki krzyk.

— Po policję! Dzwonić po policję! Rychterowa nie miała szczęścia. Tego dnia przyjechała do niej matka.

— Domu nie wolno nikomu opuszczać — wrzeszczał na klatce jakiś goryliwy, niemiecki cywil. — Już jedźcie policja!

Przyjechali. Trzech zbirów o dźwięcznych przewiskach — Lulaj, Kindlaj i Fryc. Przesłuchanie. Matka Rychterowej kulila się na krześle. Rychterowa odpowiadała sucho na pytania.

Zaraz potem zjawili się u Rychterowej gestapowcy z Warszawy. Lulaj, Kindlaj i Fryc wyprężyli się służbiście. Gestapowiec był w czar-

nych okularach, które przykrywały połowę jego twarzy, i w zielonym długim płaszczu. Sam pokierował przesłuchaniem. Zapytał, czy znała Mierzyńskiego.

— Znałam.  
— Jak miał na imię?  
— Nie wiem na pewno. Jan albo Józef...

— Kłamiesz, ty polska świniolo! Uderzył ją w twarz. Trzy razy. Za czwartym razem uchyliła się bezwiednie i gestapowiec stracił z rozmachu równowagę. To doprowadziło go do wściekłości.

— Zabierać! — krzyknął. — Tę drugą też!  
Wtedy zaczęła prosić, żeby zostawił matkę. Tłumaczyła, że staruszka znalazła się tutaj przypadkiem, że mieszka w innym mieście i nie jest winna...

2. Tego wieczora aresztowano z rozkazu gestapo stu pięćdziesięciu zakładników, mieszkańców Zgierza. Trzydziestu pięciu (z listy podejrzanych) wywieziono z domów. Resztę, stu piętnastu, osaczono na ulicach, podczas łapanek z nagonką. Wyborem w tym wypadku kierował przypadek i wielu zakładników nie wiedziało w ogóle o co chodzi.

Jednym z zakładników, z listy podejrzanych, był Jan Hulewicz, obecnie urzędnik Stanu Cywilnego w Zgierzu.

Poszliśmy tropem jego wspomnień:

Dalszy ciąg na str. 4



Europa pilnie obserwuje przygotowania do narady europejskich partii komunistycznych i robotniczych, która odbędzie się pod koniec kwietnia w Karlovych Varach. Jak wiadomo pozbawiona ona będzie problemem bezpieczeństwa na naszym kontynencie. Komentatorzy skrupulatnie rejestrują dwustronne kontakty, poprzedzające tę naradę. Na listę trzech układów o przyjęciu, 9 wizyt na najwyższym szczeblu, jakie miały miejsce od początku roku, 7 wizyt ministrów spraw zagranicznych i 17 — przedstawicieli europejskich partii komunistycznych, ostatnio wpisano także pobyt w Moskwie sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej — Luigi Longo oraz w Budapeszcie ministra spraw zagranicznych NRD — Otto Winzlera. Ten cykl rozmów, zresztą jeszcze niezakończony — delegacja Polski przebywa w Sofii — budzi żywe zainteresowanie. Najwyższe oczywiście w NRF, ponieważ wznosi nową zapórę przeciwko raz po raz ujawnianym tam dążeniom odwetowym.

Komentatorzy poświęcają wiele uwagi również „zewnętrznej” aktywności dyplomatycznej krajów socjalistycznych. W ostatnich dniach na łamach prasy zachodniej dużo miejsca zajęła wizyta min. Gromyki w Kairze oraz zapowiedziana wizyta Edwarda Ochaba w Włoszech.

„Dlaczego prezydent Polski przybywa do Rzymu?” — pyta „Gazzetta del Popolo” i odpowiada: „Podróż ta pozwoli podjąć dialog, zapoczątkowany przy okazji oficjalnej wizyty prezydenta Saragata w Warszawie i pogłębiony kilka miesięcy później, w lipcu ub. roku, podczas pobytu w Polsce min. Fanfaniego... Istnieją liczne podstawy, by uznać zbliżające się spotkanie za o wiele bardziej interesujące w płaszczyźnie politycznej niż to zwykle bywa przy tego rodzaju okazjach”.

Idea bezpieczeństwa i współpracy europejskiej, którą forsują kraje socjalistyczne, znajduje w zachodniej części kontynentu coraz żywszy odzew. Ujawnia się to w tendencjach do nawiązywania z naszymi krajami kontaktów i współdziałania. Ilustracją tych tendencji mogą być zmiany, jakie w ciągu ostatnich dwóch lat nastąpiły w polityce Włoch. Okazują one żywe zainteresowanie rozmowami politycznymi ze wschodnią Europą oraz rozwojem stosunków gospodarczych. I w tym kontekście niewątpliwie ma rację „Gazzetta del Popolo”, kiedy twierdzi, że z punktu widzenia polityki międzynarodowej i stosunków ze

Wschodem „rozmowy Ochaba w Rzymie zapowiadają się niezwykle interesujące”.

Skoro już o Europie mowa przypomnijmy Czytelnikom, że 31 marca zakończyła się ewakuacja z terytorium Francji wszystkich jednostek NATO. Zgodnie z decyzją francuskiej Rady Ministrów z ub. roku odtąd żadne dowództwa, wojska i bazy obce nie mogą znajdować się na terenie kraju. Tak więc przypięczętowane zostało wystąpienie Francji ze zintegrowanej struktury wojskowej paktu północnoatlantyckiego. (Zdaniem komisji kongresowej USA, kraje należące do NATO pozostawiły we Francji inwestycje wartości ponad 773 mln dolarów, przy czym najważniejsze z nich to — lotniska, urządzenia łącznościowe, rafinerie i magazyny naftowe).

Eksmisja wojsk północnoatlantyckich z Francji ma oczywiście istotne znaczenie militarne. Jeszcze większe są jednak następstwa natury politycznej. Uwolnienie się Francji od obcych wojsk jest ważnym ogniwem w procesie odrzynania się krajów europejskich od bezpośrednich wpływów Stanów Zjednoczonych.

Przyczyn tego stanu, co wyjaśnieniem już niejednokrotnie, dopatrywać się trzeba przede wszystkim w obawie wielu europejskich sojuszników USA przed wciągnięciem ich w jakąś kolejną awanturę, przygotowaną przez Waszyngton. Lekcja wietnamska jest tu przecież bardzo pouczająca.

Z wydarzeń najnowszych odnotować trzeba kolejne propozycje U Thanta. Przedstawił on koncepcję trzyletniego jak podyby zakończenia konfliktu: przerwanie działań wojennych, nawiązanie rozmów i zwołanie konferencji genezyjskiej.

Ta kolejna inicjatywa zasługuje na uwagę z samego faktu jej zgłoszenia, a więc poszukiwania dróg zaniechania agresji i skierowania konfliktu na drogę politycznych rozwiązań. Jednak niedostateczne wyeksponowanie w propozycjach konieczności przerwania bombardowań jako absolutnie niezbędnego warunku rozwiązania problemu (choć podkreśla się to w komentarzu do inicjatywy) sprawiło, że Waszyngton natychmiast uruchomił aparat propagandowy dla wykazania, że sekretarz generalny ONZ cofnął się i zbliżył do stanowiska USA.

I to właśnie wymaga podkreślenia. Po prostu znalazłono okazję, aby podjąć jeszcze jedną próbę zerwania odpowiedzialności za trwanie wojny na DRW. Tak jakby to nie Stany Zjednoczone dokonały agresji i nie one wciąż nasilały wojnę. Tymczasem na całym świecie wiadomo przecież, kto ukuł termin: eskalacja i kto tę eskalację w zbrodniczy sposób wprowadza w życie.

Prasa amerykańska pisze, że ostatnio dewizą Waszyngtonu w sprawie Wietnamu jest: „będziemy robić to samo, co do tej pory — tylko na większą skalę”. Komu więc agresorzy chcą uświadomić, że to nie oni odpowiedzialni są za trwanie wojny?

W. SŁAWSKI

# Kronika TYGODNIA

Według oświadczenia Me Namary, liczebność wojsk amerykańskich w Wietnamie wyniesie do końca br. 480 tysięcy ludzi. Wydatki na cele wojskowe osiągną do końca br. zawrotną sumę 75 miliardów dolarów.

Agencje zachodnie podają, że z inicjatywy premiera Czou En-laja w szeregu resortów i ministerstw ogólnochińskich przywracane są komitety partyjne, których działalność w okresie rewolucji kulturalnej została zawieszona. Agencje te utrzymują również, że pozycja Czou En-laja umacnia się w dalszym ciągu, i że Mao Tse-tung pragnie go wykorzystać w rozgrywkach przeciwko Lin Piao.

Jak podają źródła zachodnie, Związek Radziecki zamierza złożyć ofertę w sprawie dostawy 6 ogromnych

z prywatnym właścicielem w sprawie zakupu trzech wysp na Oceanie Indyjskim. Wyspy te zamieszkałe są ogółem przez około 1400 mieszkańców. Według istniejącego planu utworzona z nich zostanie nowa kolonia pod nazwą Terytorium Brytyjskie na Oceanie Indyjskim, która służyć będzie, jako amerykański ośrodek komunikacyjny i brytyjska stacja benzynowo-zaopatrzeniowa.

Gazetka oddziału Czerwonej Gwardii Pekinńskiego Instytutu Lotniczego podała do wiadomości, że istnieje projekt wzniesienia w Szanghaju pomnika Mao Tse-tunga. Według zacierpniętej z tego źródła informacji, KC KPCh spośród pięciu przedstawionych projektów wybrał już jeden do realizacji. Ma to być 9-metrowa statua wykonana z metalu i pokryta nierdzew-

stowej czołowiec Europy i że teza, iż prawdziwy cud gospodarczy nastąpił w Niemczech wschodnich, a nie zachodnich nie jest pozbawiona podstaw.

W Indi, w Kalkucie, w obliczu groźby głodu wybuchły zamieszki, które pociągnęły za sobą 11 śmiertelnych ofiar i blisko 200 rannych.

Dziennik „Izwestia” opublikował korespondencję z Tokio pióra H. Fudziwary pt. „Pekińska farsa”. Autor korespondencji stwierdza, że pod czas pobytu w Chinach na każdym kroku widział dowody propagandy nienawiści wobec cudzoziemców. „Rozmawiałem z setkami hunwejbimów. Większość mówiła: Mao uczy, że rewizjonizm radziecki jest największym wrogiem. Wszędzie miałem okazję przekonać się, że grupa Mao Tse-tunga usiłuje zastąpić nienawiść do USA, nienawiścią do narodu radzieckiego”.

Ociejałne koła waszyngtońskie zaniepokojone są wzrostem działalności partyzanckiej w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej. Jako główne ogniska ruchu partyzanckiego wymienia się Boliwię, Gwatemalę, Kolumbię i Wenezuelę.

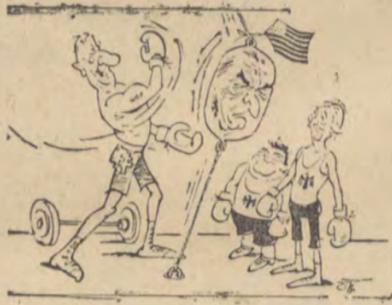
Prezydent Mobutu zapowiedział rozwiązanie parlamentu kongijskiego, jako „złe wybrane”. „kontrewolucyjnego”. Mobutu zapowiedział również utworzenie partii „Ruch rewolucyjny” pod jego kierownictwem.

Indonezyjski minister spraw zagranicznych Adam Malik oświadczył, że jego zdaniem stosunki między Indonezją a ZSRR nie powinny się pogorszyć.

Chińska Republika Ludowa odrzuciła starania sekretarza generalnego ONZ U Thanta mające na celu przywrócenie pokoju w Wietnamie. Pokojowe propozycje U Thanta są zdaniem agencji Sinhua rodem ze Stanów Zjednoczonych, a U Thant „nie ma żadnego prawa interweniować w Wietnamie”. Wszyskie wysiłki by wydobyc Stany Zjednoczone z grzechawiska w jakim się znalazły w Wietnamie są daremne — stwierdza Agencja.

Komitet Wykonawczy Łacińskiego - Amerykańskiego Stowarzyszenia dla wprowadzenia zasad Przymierza dla Postępu” stwierdził, że ponad 3 tysiące naukowców i wysoko wyspecjalizowanych techników opuszcza rocznie kontynent południowoamerykański i emigruje do Stanów Zjednoczonych.

Sekretarz stanu w rządzie NRD Horst Brach wygłosił referat pt. „Stosowanie nowego systemu ekonomicznego w planowaniu i kierowaniu procesami kulturalnymi. Siewierzył on m. in., że „Społeczeństwo może płacić tylko za poczynania kulturalne, które przynoszą mu pożytek. Pożyteczne zaś dla społeczeństwa są dzieła i imprezy, zaangażowane w duchu partyjnym, o wysokiej sile wymowy, o charakterze socjalistycznym, a także czepne z humanistycznego dzieła, wystawiane przy maksymalnie niskich kosztach, mające szansę na szerokie upowszechnienie i zapewnienie odpowiednich wpływów”.



(Ruhr Nachrichten)

turbin elektrycznych przeznaczonych dla zapory wodnej w stanie Washington w USA. Po zainstalowaniu tych turbin moc zakładów hydroelektrycznych poważy się na czele najsilniejszych zakładów tego typu w świecie. AFP pisze w związku z tym, że w razie przyjęcia oferty radzieckiej, USA mogłyby się szczycić nowym rekordem światowym zdobytym dzięki technice radzieckiej.

W Albanii 600 młodych chłopców i dziewcząt rozpoczęło 10-dniowy marsz szlakami przebytymi przez armię wyzwolenią przed 23 lata. Młodzież maszeruje w pełnym umundurowaniu, a trasa marszu wynosi około 200 km.

Brytyjskie Ministerstwo Obrony finalizuje rokowania

na stal. Byłby to pierwszy pomnik Mao wzniesiony w Chinach.

Ambasador Związku Radzieckiego w Bonn S. Carapkin oświadczył, że istnieje możliwość postawienia stosunków gospodarczych między NRF i Związkiem Radzieckim na poziomie jaki istnieje między NRF a USA. Na przeszkodzie temu stoi jednak problem liberalizacji tzw. kontyngentów wymiany handlowej.

„Litteraturna Gazieta” informuje, że w Madrycie obraduje obecnie sesja Europejskiego Stowarzyszenia Kultury, do którego należy również Związek Radziecki. Do Madrytu udał się radziecki pisarz Borys Polewoj, który jest wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia. Obserwatorzy w Madrycie podkreślają — pisze gazeta — że od lipca 1937 roku kiedy na Międzynarodowym Kongresie w Obronie Kultury, obradującym najpierw w Walencji, a następnie w Madrycie, przemawiali Aleksy Tolstoj, Ilija Erenburg, Wsiewołod Wierszniewski, aż do marca 1967, Hiszpania pozbawiona była możliwości usłyszenia żywego słowa pisarza radzieckiego. Obecnie dwa uniwersytety — w Madrycie i Salamance — propozycje Polewoja o wygłoszenie odczytu o literaturze radzieckiej.

Amerykański tygodnik „New Republic” pisze, że NRD znajduje się w przem-

trzebie i gustów. U nas, jak się ktoś odezwie np. w kwestii rewolucyjnego charakteru sztuki operowej, to go nikt nie poprze, najwyżej oprzytki, a tam — cały naród popiera, rozumie, uznaje za swoją sprawę.

Albo to, oczywiście, nie znaczy, że stolica straciła urok niezrozumiałości. W istocie kierowania życiem intelektualnym musi być coś także mocno niejasnego, nie zrozumiałego dla szaraczków. Szaraczek powinien mówić nabożnie — ja tego nie rozumiem, ale oni tam głowaczkę, wiedzę, co piszą, niebadane są ich opinie, zaskakujące wyroki, ale słuszne, bardzo słuszne, to tylko my jeszcze nie rozumiemy, nie podlegaliśmy się wzywać. A trzeba, choćby i w krzyżach trzeszczało.

W tygodniku „Film” przeczytałem streszczenie, czy też podsumowanie dyskusji o współczesnym bohaterze filmowym. „Film” to jest pismo, które w kontrowersyjnych sprawach nie mówi tak i nie mówi nie, nie jest przeciw i nie jest za, po prostu referuje tak, że każdy wie wszystko, albo nikt nie wie. Otóż w związku z tym filmowym bohaterem stolecni socjologowie stwierdzili, że robotnicy lubią komika, jako bohatera. Nie rozumiemy, ale wierzymy. Studentów pierwszych lat — bohatera zachodniego, a starszych lat studentów, ci z klubów, wysublimowani, na poziomie, lubią wybitnych aktorów, a więc nie mogą przyjąć propozycji naszego filmu. Cóż to może znaczyć? Albo to, że u nas nie ma wybitnych aktorów, albo też są, lecz ich Film Polski nie zatrudnia. Tak czy siak oczy znawców muszą się zwracać na Zachód. Z tego wynika, że u nas jest kryzys bohatera filmowego, albo nawet kompletny brak. Przyczyny? Oto jedna z nich: „bohater filmowy jako zjawisko seryjne nie ma zbyt wielkich szans w kinematografii, która kształtuje zaledwie kilkanaście procent własnego repertuaru”.

No, i teraz proszę zrozumieć istotę kryzysu. Na czym ona w końcu polega? Myśleliśmy raczej, że bohater seryjny ma właśnie szansę, sam autor podsumowania tej świetnej dyskusji stwierdza, że u nas akceptuje się Templara, Kildara, Johna Wayne itd. Właśnie! Ma szansę, akceptuje się, a jednak nie ma! Typowa dialektyczna sprzeczność, jedność i walka przeciwności. A dlaczego kinematografia kształtuje tylko kilkanaście procent swojego repertuaru? Kto za kinematografię kształtuje resztę? Moi drodzy, a gdzieżby nam przyszło na myśl, postawić przed narodem tak pasjonujący problem?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

OD REDAKCJI:

Nasz świetny współpracownik w swym felietonie, ze swadą i nie padając na kolana przed obiektywną prawdą, kreuje pewne fakty, które należy traktować jako licentia poetica. Natomiast aluzje dotyczące tak drażliwych spraw jak np. stypendia są rezultatem spekulacji intelektualnych autora, do których doszedł on — jak mawiał kiedyś Lejzorek — „sobstwiennym umom” (przekład wolny; własnym rozumem) a więc bez żadnych inspiracji i namów.



— Żle z nami chłopcy, McNamara jest znów pełen optymizmu. (New York Herald Tribune)

UCZMY SIĘ POKORY!

A jednak co stolica to stolica. Nie dogonimy, możemy dużo mówić o wyrównywaniu poziomów, likwidacji szarych prowincjonalnego życia, ale nie dogonimy. Raz po raz, jakby od niechcenia, bliższy stolica wydarzeniami o jakich u nas ani nawet marzyć.

Weźmy dla przykładu życie towarzyskie. Przed sądem Warszawa—Śródmieście rozpoczął się proces jednego pisarza przeciw drugiemu. Dyskutowali na tematy ściśle literackie, bo o stypendiach, a skończyło się na trwałym kalectwie jednego, 1.500 złotych stypendium miesięcznego to stawka nie mniejsza niż życie, jest o co wybijać oczy. A u nas? Cóż w życiu towarzyskim naszych sier kulturalno-artystycznych może się stać? Profesor nazwie poetę sklerotykiem i koniec. Ani sądu, ani usunięcia z krzyżych szeregów, ciska, martwość, nawet szybą wybita ręka artysty nie zadzwierzy, nie wybija ją szyb, ani zębów. I to ma być życie, wyrównywanie poziomów?

Albo takie na przykład życie intelektualne. Nie dawno p. Malachowski zwrócił uwagę na problem „Tredowatej”. Po nowemu, odważnie, światoburczo. A my, jak zawsze spóźnieni, myślimy o Reymoncie, że laureat Nobla, światowy poziom i takie tam rzeczy. I jest w tej naszej fascynacji pisarzem coś prowincjonalnego, w tym zachwycie, uznaniu jego odrębności, inności, wysokiego lotu. A nie widzimy tego, co p. Malachowski zauważył z miejsca. Wcale nie było i nie ma u nas mocarzy literackich. Toż przecież w gruncie rzeczy nie taka znowu różnica między Heleną Mniskową a Stefanem Zeromskim. Ba, żeby tylko! Mniskówna to nie gorzy alchemik uczuć niż sam Proust, Zeromski przeminał, żądał sekularnych domów, zbudowaliśmy je z mniejszym może szacunkiem dla metrażu, który pisarz przewidywał i oto Zeromski odchodzi do akt, choć bardzo był stylistycznie podobny do Mniskówny. Nałkowska też pisała podobnie. No, ale Zeromski został zrealizowany przez nasze dumne pokolenia współczesne, natomiast Mniskówna dotyka spraw wiecznych, tłumaczy nam, że miłość to nie tylko zmysły, Stefca nie tylko seksualnie opowiadała ordynata, ale i biologicznie, gdyż weszła mu w krew, ale i intelektualnie, gdyż weszła mu w mózg. Szerokość spojrzenia na problem miłości sprawia, że Mniskówna żyje, dokonała bowiem syntezy swego świata nie tylko wstecz, ale i daleko wprzód. Przecież będziemy się miłować pewnie jeszcze długie lata.

I to jest pryncypialne, szerokie, ogólnonarodowe postawienie problemu. Dlatego naród odzywa się w sprawie „Tredowatej”. Naród pisze listy do naszych tygodników. „Tredowata” jest dziełem geniuszu — i oto cała tajemnica jej poczytności, rozwiązana bez uciekania się do opracowań Polskiej Akademii Nauk — pisze pan L. S. z Włocławka do redakcji „Współczesności” (nazwisko i adres znane redakcji). Z czasem przyjdzie pewnie i do tych opracowań, ale to trochę potrwa, ponieważ planujemy raczej długofalowo i jak coś od razu do planu nie wejdzie musi swoje kilka lat poczekać.

Otóż to jest to, czego nam żyjącym za rogatkami stolicy brak. Tej odkrywczą śmiałości, ryzyka intelektualnego, tego zrozumienia powszechnych po-

# Wojewódzki program rozwoju kultury

Poniżej zamieszczamy rozmowę „Odgłosów” z Wiesławem Bekiem — sekretarzem KW PZPR na temat niektórych problemów rozwoju kultury w woj. łódzkim.



Zęczyca. Fot. W. Biliński

— W ostatnim okresie niejednokrotnie mieliśmy okazję przekonać się o zwiększonym zainteresowaniu w woj. łódzkim problematyką kulturalną. Czemu można to przypisać?

— Spostrzeżenia redakcji chciałbym potwierdzić. Rzeczywiście, w różnych środowiskach częściej podejmuje się problematykę kulturalną. Miarą tego m. in. mogą być spotkania delegatów na Kongres Kultury Polskiej. Uwaga towarzysząca słowom prelegentów, a przede wszystkim pytania uczestników spotkań, świadczą o ich rozległych zainteresowaniach. Dopatruję się w tym czegoś więcej niż tylko zwykłej ciekawości, dopatruję się powszechnego odczucia awansu działalności kulturalnej. Jest to niewątpliwie objawem bardzo korzystnym, a na takie przekonanie z pewnością duży wpływ miał Kongres Kultury Polskiej.

— Ale nie tylko. Jest to także wynik obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, które dały liczne okazje do zainteresowania się dorobkiem i w tej dziedzinie oraz perspektywami rozwoju kultury. Udział w tych uroczystościach licznych przedstawicieli łódzkiego środowiska twórczych, a zwłaszcza literatów, artystów i dziennikarzy, niezliczonej wprost rzeszy terenowych działaczy kulturalnych, organizacji młodzieżowych i wielu stowarzyszeń owocuje właśnie w ten sposób.

Bardzo to nas cieszy, ponieważ jest najlepszą gwarancją realizacji przyjętych w ubiegłym roku przez Egzekutywę Komitetu Wojewódzkiego PZPR kierunków rozwoju kultury w woj. łódzkim, szczegółowo określonych następnie w programie, uchwalonym w lutym br. na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej.

W tym miejscu chciałbym podkreślić, że owe zainteresowanie, o którym mówię, uwidoczniło się wyraźnie także w czasie kampanii sprawozdawczo-wyborczej w wojewódzkiej organizacji partyjnej, a zwłaszcza na konferencjach powiatowych i miejskich. Niemal na żadnej z nich, nie mówiąc już o konferencji wojewódzkiej, nie brakło głosów, poruszających wieki i małe problemy kultury. Wcześniej jeszcze niektóre instancje terenowe poświęciły tym zagadnieniom plenarne posiedzenia, czy też posiedzenia egzekutyw. Tak więc wiele czynników złożyło się na dostrzeżenie przez redakcję ożywienie. Oczywiście, ujawnia się ono nie tylko w dyskusjach, ale — i to

przede wszystkim — w faktach kulturalnych.

— Sygnalizowaliśmy to w reportażach i innych publikacjach z terenu województwa. Zresztą, jeśli dobrze pamiętam, na wspomnianej sesji Woj. RN mówił o tym także wiceminister Garstecki, wysoko oceniając dorobek województwa w dziedzinie upowszechnienia kultury.

Chcielibyśmy jednak powrócić do kierunków rozwoju kultury na Ziemi Łódzkiej...

— Właśnie. Jak powiedziałem już — przyjęły one formę programu rozwoju kultury. Program ten — to obszerny dokument, ustalający w specyficznych warunkach województwa łódzkiego główne zadania i drogi ich osiągnięcia. Nie miejsce tu, aby go szczegółowo omawiać, ograniczę się zatem do kilku uwag.

Jedną z najbardziej znamienitych cech polskiej rewolucji kulturalnej jest udział w procesie upowszechnienia kultury licznych partnerów, a więc: towarzyszów, stowarzyszeń, organizacji, które doskonale uzupełniają i zasilają się — jeśli tak można się wyrazić — profesjonalnych placówek kulturalnych. Wiele z nich specjalizuje się w określonych formach działalności, żeby chociaż wspomnieć o TWP, wiele jednak prowadzi tę działalność podobnymi metodami. Każdy z tych partnerów ma określone zadania i każdy w zasadzie — adresata swej działalności. Jednak efekty ich pracy w dużym stopniu uzależnione są od uporządkowanego współdziałania, czyli koordynacji. I taki właśnie cel przyswilieliśmy opracowaniu wojewódzkiego programu rozwoju kultury.

Co szczególnie akcentuje program?

Przede wszystkim zasadę prymatu form oświatowych. Jest bowiem oczywiste, że kultura może się prawidłowo rozwijać tylko na glebie przygotowanej przez oświatę. Jeden z naszych znanych działaczy kulturalnych stwierdził, że kultura tak jak rolnictwo wymaga nie tylko dobrego ziarna, ale i starannej uprawy. Te ostatnią zapewnią właśnie ogólny wzrost wiedzy.

Program zwraca dużą uwagę na niezbędność rozwoju różnych form ruchu amatorskiego, który spełnia ważną funkcję rozbudzania uzdolnień twórczych i przygotowania do czynnego uczestniczenia społeczeństwa w procesie rozwoju kultury.

Niektórzy z naszych teoretyków sądzą, że burzliwy rozwój środków masowego oddziaływania, a zwłaszcza telewizji, notabene

najlepszej z form upowszechniania wartości artystycznych jaką znamy, oznacza zmierzch ruchu amatorskiego. Obserwacje terenowe nie tylko nie potwierdzają tych przewidywań, ale wręcz im przeczą. Bardzo liczne są przykłady, że właśnie pod wpływem telewizji rodzi się chęć „wyżycia artystycznego”, co znajduje swój wyraz także w powstaniu zespołu amatorskiego. Jest więc sprawa nader ważną prawidłowo pokierować tym ruchem, dostarczyć zespołom odpowiedniego tworzywa artystycznego oraz zapewnić im odpowiednią pomoc instrukcyjną.

Wspomniałem powyżej o specyficznych warunkach woj. łódzkiego. Wyraża się to przede wszystkim w tym, że największe skupiska środowisk twórczych, a także największe zawodowe placówki kulturalne znajdują się na terenie Łodzi, a więc odrębnej jednostki administracyjnej. Te administracyjne granice nie mogą jednak utrudniać kontaktu środowisk twórczych z województwem, ani też udziału mieszkańców województwa w wydarzeniach artystycznych Łodzi. Program zakłada więc kontynuowanie zapoczątkowanej przez WKZZ stałej współpracy literatów i artystów oraz rozszerzenie jej na muzyków i aktorów — z placówkami kulturalnymi województwa, patronowanie twórczości młodych, rozwijanie niezwykle ważnych dla województwa kontaktów z wyższymi uczelniami, ze Zrzeszeniem Studentów Polskich, ściślejsze niż dotąd współdziałanie wydziałów kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Rady Narodowej m. Łodzi.

Wreszcie chciałbym podkreślić jeszcze jeden moment — znaczenie działalności organizacji i stowarzyszeń kulturalnych, które stale rozszerzają zakres swego oddziaływania i zasilają krąg społecznego aktywności ludzi, pasjonujących się pracą kulturalno-oświatową.

— Dotknęliśmy więc tzw. problemu kadr. Czy i w tej dziedzinie są w programie konkretne ustalenia?

— Tak. Coraz rozleglejsze zainteresowania kulturalne mieszkańców województwa wymagają unowocześnienia i doskonalenia form oddziaływania. A to już bezpośrednio wiąże się z kwalifikacjami kadry zawodowej i społecznego aktywności kulturalno-oświatowej. Dlatego też oddzielny rozdział w programie poświęcony jest dokształcaniu pracowników kultury. Ustala on drogi podnoszenia kwalifikacji.

Nie chciałbym zagadnieniem zajmować się szczegółowo, nie miejsce po temu. Chciałbym natomiast w pewnym sensie powrócić

do tego, o czym wspominałem na początku naszej rozmowy. Jeśli stwierdzamy powszechne odczucie awansu działalności kulturalnej, to trzeba także stwierdzić awans społeczny działacza kultury. Słusznie więc jego miejsce wyznacza się obecnie w gronie aktywności politycznej, na wysuniętych pozycjach wielkiego frontu edukacji narodowej.

— Omówiliśmy pokrótce niektóre zagadnienia, wynikające z uchwalonego przez Wojewódzką Radę Narodową programu rozwoju kultury. Oczywiście na jego realizację potrzebne są środki finansowe...

— Bez tego ani rusz. Upowszechnianie kultury wymaga zapewnienia odpowiednich środków finansowych zarówno na działalność merytoryczną, jak i powstanie i rozwinięcie placówek i urządzeń kulturalnych. W planie inwestycyjnym rad narodowych do 1970 roku przeznaczona jest na cele inwestycyjne 16,5 mln zł. Ale suma ta z pewnością będzie wielokrotna na drodze rozwinięcia czynów społecznych i wykorzystania społecznych środków. Liczymy także na pomoc mecenasów działalności kulturalno-oświatowej na wsi: przedsiębiorstwa „Ruch” i WZGS.

— Korzystając z okazji chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie. Jaka rolę w realizacji omawianego programu wyznaczają towarzysze sekretarz „Odgłosów”?

— Prasa, telewizja i radio odgrywają ogromną rolę w upowszechnianiu kultury. Często, a w moim przekonaniu niesłusznie, mówi się o nich jako o masowych środkach przekazu. To ostatnie słowo sugeruje, że chodzi jedynie o ich funkcję powielania wartości artystycznych, podczas gdy spełniają one jednocześnie rolę inspiratora działalności kulturalnej. Dlatego też precyzyjniejszy jest na pewno termin: masowe środki oddziaływania.

— Ale powróćmy do pytania. Sądzę, że zadania „Odgłosów” w tej dziedzinie wynikają z drugiej części ich główki tytułowej: „TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY”. Dysponując dobrymi piórami ludzi specjalizujących się w omawianiu tematyki kulturalnej, mogą one kształtować kierunki tej działalności, podpowiadać inicjatywy i w pewnym sensie stać się trybuna wymiany doświadczeń. W każdym razie liczymy na pomoc z Waszej strony, na nadal żywe zainteresowanie się problemami kulturalnymi województwa łódzkiego.

## ZOFIA LIBISZOWSKA

### Król — odnowiciel

„Historiografia polska od 150 lat zaplątała się w odbywanie sądów i ferowanie wyroków w sprawie Stanisła Augusty. Trudno wyzwolić się od tradycji bo też i sprawa jest szczególna... Tracący byt państwowy naród uczynił z ostatniego króla kozła ofiarnego, składając na niego brzemień win” — píše autor na ostatnich stronach swej mądrej książki.

Rostworowski podejmuje raz jeszcze przegląd tych dramatycznych czasów. Raz jeszcze? Poniekąd, gdyż o tym okresie pisano tak wiele: mamy podręczniki, idące już w setki odcinkowe monografie, wydawnictwa źródłowe, rozprawy i przyczynki. Brak nam było jednak od dawna całościowego ujęcia i syntetycznego spojrzenia. Brak nam było monografii króla — polityka

na tle swoich czasów wśród ludzi i zmieniających się wydarzeń sytuacji międzyrodowej.

Książka ukazała się nakładem Wiedzy Powszechnej, określona więc ogólnie jako praca popularnonaukowa. Obawiam się czy trafi do właściwego czytelnika. Książka jest syntezą wysokiej rangi, opartą na długoletnich badaniach własnych, wprowadza nowe źródłowe dowody, zawiera spory ładunek polemiczny. Autor operuje oszczędnie i precyzyjnie swym doskonałym piórem, zdania dobiega celnie, obraz zarysowuje wyraziście, ale też żąda pewnego wysiłku od swego odbiorcy. Zmusza go do myślenia, do reakcji, do czynnego przeżywania lektury.

Książka przeznaczona jest dla człowieka wykształconego, który rozstał się z historią jako z przedmiotem szkolnym i wraca do niej jako świadomy, inteligentny człowiek. Nasza historia obfituje w zagadnienia kontrowersyjne, rozstrzygane tak różnie przez naukę, publicystykę i potoczną opinię. Nasz stosunek do przeszłości jest raczej emocjonalny, rzadko ra-

jonalistyczny. Ferujemy zbyt łatwo wyroki, pozaczajmy jednych, krzywdzimy drugich. Podręczniki wyrokuja. Zainteresowania dia historii rodzą się przeważnie już poza szkołą u ludzi dojrziałych i myślących. Wtedy szukają oni dobrej książki i próbują zrozumieć problemy przeszłości, które samo życie nasuwa.

Praca Emanuela Rostworowskiego ukazała się w 150 lat po ustawie 3-majowej. Przełomowa chwila Sejmu 4-letniego jest w konstrukcji książki punktem kulminacyjnym, ale istotnym jej bohaterem jest Stanisław August — polityk — realista i reformator oraz jego uparta walka o ewolucyjną przebudowę kraju i społeczeństwa w oparciu o przymierze z Rosją. Stoczyć więc musiał autor długą i żmudną batalię ze zwolennikami przymierza polsko-pruskiego, które omamiło sejmowych patriotów i pozwoliło na krótkotrwałe triumfy, a także przeprowadzić filologiczną niemal analizę kolejnych projektów konstytucji, aby ukazać największy wkład króla w jej przygotowanie i opracowanie. W

książce fascynuje barwna panorama łódzkich typów, świat na znajomość ich charakterów, poczynań, intencji. Zaskakują pasje i namiętności; oślepieni nienawiścią mag naci, zawzięci republikanci, obrońcy zagrożonej wolności przed groźącym rzekomo absolutyzmem króla, epigoni czasów saskich, używający i nadużywający życia, podgoleni Sarmaci rzucający kalumnie na nowatorskie idee i wszelkie zagraniczne wpływy i piękne panie postępujące się swym wdziękiem i urodą, by zamącić w polityce, godzić i waśnić koterie.

Są też ludzie nowi, wykształceni w szkole rycerskiej i szkolach Komisji Edukacji Narodowej, „ciepłe głowy” królewskich urzędników, doradców a także zatroskani o losy kraju „prawdziwi patriotyci”.

Autor w kolejnych, doskonale zatyłowanych rozdziałach ukazuje sytuację „Famili” i warunki elekcji Stanisława Poniatowskiego, opisuje jego rodzinne i majątkowe stosunki. Ciężkie początki panowania, w kraju zamagającym intrygami Repnina i groźbą wojny domowej, której epilogiem był I rozbiór

Polski. I znów pod kuratelą Stackelberga systematyczna obrona tego co dało się uratować przed czujnością ambasadora, reforma rządu, admistracji, dzieło oświaty, kultury itp. Wreszcie następny akt dramatu łączy się z rozłamem systemu północnego i poróżnieniem się dwu rozbiórczych potęg Prus i Rosji. Stanisław August, realista, pragnął utrzymać za wszelką cenę sojusz z Rosją. Większość w Sejmie opowiedziała się za przymierzem polsko-pruskim. Taniec odnawia ze wszech miar decyzja dyplomatyczna kosztowała w konsekwencji drogę. Polska zapłaciła za nią drugim rozbiorem. Targowiczanie ułatwili Rosji działanie, ale rozbiór był dla nich również zaskoczeniem. I jeszcze jedno. Wbrew powszechnemu mniemaniu Rosja targowickich przywódców nie potrzebowała opłacać. Przeciwnie, prawdziwe fortunę kosztowały Szczygłowski Potockiego jego polityczne ambicje i konfederackie marszałkostwo.

Kogo więc winić za upadek państwa i rozbiory? Rostworowski przypomina od dawna pokutujące w naszej historiografii i w potocznym przekonaniu dwie opinie,

własne winy, lub zaborczość sąsiadów. Teorię własnej winy koryguje. Upadliśmy nie dlatego, że byliśmy słabi i nierządni, ale właśnie dlatego, że stawaliśmy się nowoczesnym, dobrze zorganizowanym państwem o większych ambicjach i rosnącym potencjale ekonomicznym.

Zaborców natomiast sprokowałoby dwukrotnie, raz nieszczęsną antyrosyjską konfederacją barską, która umożliwiła realizację pruskiego pomysłu rozbioru Polski, do którego dołączyła się pokrzywdzona utratą Śląska Austria i drugi raz, gdy w trudnej dla Rosji sytuacji (wojna z Turcją i Szwecją) zmieniliśmy sojusznika a znaleźliśmy w nim wilka, który czyhał na swoją ofiarę. Realistyczna polityka króla współpracy z partnerem rosyjskim była jedyną możliwą drogą do uratowania kraju od rozszarpania go przez trzy ościenne potęgi.

Emanuel Rostworowski. Ostatni król Rzeczypospolitej. Geneza i upadek Konstytucji 3-majowej. Wiedza Powszechna, Warszawa 1966, s. 347.

# PLAC STU POLE GŁYCH



## Dalszy ciąg ze str. 1

On mówi, że ta szkoła, w której zmagazynowano zakładników — nic się nie zmieniła. Jest teraz przy ulicy Łódzkiej 4. Kiedys ta ulica nazywała się inaczej. Ale, poza tym — ta sama brama ozdobiona skrętami blachy, te same drzwi główne, żółtawą farbą pokryte, ten sam korytarz o długich, czarnych jak ziemia dechach.

Sala gimnastyczna. Ogromna. Ładnie tu. Scena na prawo udekorowana na jakąś zabawę. Girlandy, ryśunki, kolorowe planse. Boisko do koszykówki w pełnych wymiarach. Koszyki ćwiczebne, nową brązową skórą wybite. No i drabinki gimnastyczne, aż pod sufit. W jednym miejscu, na ścianie, ktoś kredą wypisał: „Antek, Romek, Maciek”.

6 marca 1942 roku — stali tu twarzą do ściany z rękami w górę, opartymi o szczeble gimnastycznych drabin — zakładnicy. Przy drzwiach i w dwóch kątach sali czekały erkaemy. Zakładników zbierano aż do północy. Hulewicz widział kątem oka Rychterową i jej matkę — starszuskę, staniającą się na nogach ze zniechęcenia. Widział żyjącego do dziś Józefa Bujalę i żyjącego do dziś Olimpię Szymczak, ale to nieleżali zakładnicy, którzy dożyli...

Po północy, pod szkołę podjechały niemieckie ciężarówki, pokryte plandekami. Popędzani kolbami i przekleństwem — wchodzili na platformy aut, tratując się wzajem w ciemnościach. Twarz przy twarzy, nie było czym oddychać. Hulewicz dzwignął z platformy półprzytomną Szymczakową i trzymał ją za ramiona aż do Radogoszcza.

Potem, rozrzucony po celach, przez trzynaście długich dni, przez trzynaście koszmarnych nocy — czekali na śmierć.

3.

Do dwudziestego marca 1942 roku Niemcy zaarrestowali w związku z Mierzyńskim około tysiąca osób. Represje szczególnie dotknęły Zgierz, Łódź, Kalisz i Łęczycę. Fałę terroru przeniosły się także na pobliskie wioski. Lista stu skazanych sporządzona była już na tydzień przed egzekucją. 96 mężczyzn i 4 kobiety, wybrani z łódzkiej

wieźni, z różnych miast, z różnych przypadkowych splotów wydarzeń.

Trzech z tej setki zmarło przed 20 marca. Niemcy uzupełnili to z liczących rezerw Radogoszcza. Nad Zgierzem unosiła się ciężka atmosfera wyczekiwania i udręki...

Rano, około dziewiątej, przyszedł do mieszkania Janiny Hulewicz gestapowiec. Młody jeszcze, może trzydziestoletni drab z twarzą napuchłą od złości.

Janina Hulewicz jest kolejnym naucecznym świadkiem zgierskiej zbrodni. Oto jej wspomnienia:

Powiedział, żeby się ubierała. Natychmiast. Zapytała, po co. — Zobaczysz swego męża — powiedział. — Zaraz go rozstrzelają.

Ale ona nie chciała wyjść z domu. Była sama, z kilkunastomiesięcznym synkiem, którego akurat karmiła piersią.

Wyrwał jej dziecko i rzucił na łóżko. Nie plakało. Patrzyło zdziwione na Niemca i na matkę, która ubierała się drżącymi rękami, hamując krzyk.

Wypędził ją na ulicę. Czekają tu wielu zgierzian ustawionych parami, wyciągniętych jak ona z domu. Zobaczyła znajomych ze swojej ulicy. — Kobiety chowające twarze w kołnierzach pal, mężczyźni patrzących w ziemię nieruchomym wzrokiem...

Wzdłuż szeregu spacerowali Niemcy z bronią, stukając podkutymi butami.

Ruszyli na plac, który wtedy nie był jeszcze placem. Był śmietnikiem. Sterty odpadków z całego miasta, przegniła ziemia przemieszana ze zgnilą słomą. Stały jakieś rozwalone stodoły o dziurawych, szesnastych ścianach i dwie wysokie groble z piasku, usypane przez robotników Magistratu.

Teraz ten plac sąsiaduje ze szkołą Tysiąclecia i ta szkoła jest przepiękna. Teraz ten plac wyłożony jest szarą, równą kostką i chociaż graniczy ze szkołą — nie bawią się na nim dzieci. Pusto i cicho. Jak na wiejskim cmentarzu. Ludzie, którzy przechodzą ulicą Nowotki, albo Piątkowską — w milczeniu patrzą na szary pomnik i na miejsce, które teraz wyznacza trybuna, a z którego kiedyś padały strzały. Tylko te dwa architektoniczne akcenty.

Ale 20 marca 1942 roku, o godzinie dziesiątej rano, było tu tylko śmietnisko. Na przegniłej ziemi czekały tysiące ludzi, tysiące spędzone siły z okolicznych wsi i z wszystkich dzielnic Zgierza. Jedną mową, że tych tysięcy było dwadzieścia, inni, że więcej. Hulewiczowa nie liczyła. Widziała mrowie głów zbitych ciasno po jednej stronie placu i pojedyncze sylwetki panów świata, życia i śmierci przechadzających się dziarskim krokiem po drugiej, opustoszałej stronie. Widziała stojaki erkaemów, omiatających tłum, jakby ktoś palcem kiwał na groźbę...

Przemówił burmistrz Zgierza mrząc oczy w świetle dnia. Jego słowa tłumaczył ktoś na polski. Było tam, że za dwu naszych, padnie stu waszych. Ze zawsze tak będzie, bo na dobrą sprawę — jeden nasz, warty jest milion waszych. Było tam, że gdyby ktoś stawiał opór, albo tylko zakłócił egzekucję krzykiem, lamentem — wtedy... padnie następna setka, wybrana wcześniej z tłumem...

I tłum oddał swoich zakładników. To nie była czeza pogroźka. Wyciągali kobiety i mężczyzn, bez wyboru, jak popadło. Ustawieni na skraju śmietniska, pod łufami karabinów, zależni od zachowania tłumy, w którym przed chwilą jeszcze stali — oczekiwali na swoją śmierć, albo na swoje wybawienie.

O godzinie 10.30 przyjechały samochody ze skazancami. Te same pokryte plandeką ciężarówki, którymi dwa tygodnie temu odwożono zakładników do Radogoszcza. Skazanci zeskakiwali na ziemię, sami, bez zachęty. Wyciągali do tyłu ręce a morderycy w mundurach wciągali je na plecach. Pluton egzekucyjny stanął na pozycjach. Trzydziestu ich było. W galowych strojach. W butach czarnych i lśniących. Tłum widział jak jeden z nich wyciągnął z kieszeni szmatkę, przykucnął i wycierał w pośpiechu z obcasów jakieś niewidoczne grudki błota. Inny skubał jasne włoski i obliżywał w podnieceniu czerwone usta; był wysoki, przystojny i robił wrażenie, jakby znalazł się w tej roli: na placu egzekucyjnym z karabinem w ręku — po raz pierwszy.

Obok plutonu stał z kamienną twarzą gestapowiec w czarnych, ogromnych okularach, w piaszczu

zielonym za kolana. Byli tam również Lulaj i Kindlaj. Fryc krzątał się na zapleczu, wśród setki zakładników wyciągniętych z tłumy i oczekujących na śmierć albo wybawienie.

O godzinie 10.40 pierwsza piętnastka skazanych ruszyła na wyznaczony skrawek śmietniska, pod groblę wzniesioną z piasku przez robotników Magistratu. Szli spokojnie i cicho, zgarbieni trochę przez ręce związane na plecach.

O czym myśli człowiek idący na śmierć? O czym myśli człowiek samotny wśród tysięcy, nieswiadomy swojej winy, wyrwany gdzieś przypadkiem z tramwaju, może z autobusu, może szedł do sklepu po zakupy i akurat trafił na lapanekę, może spał właśnie, kiedy po niego przyszli, i nim wyszedł, pozwolił mu jeszcze pożegnać żonę i dzieci, a on żonę z uśmiechem pocieszał, że to się na pewno jutro wyjaśni, bo przecież nie ma na sumieniu, nie martw się, mówił, wróć...

I teraz idzie, odmierza krokami ostatnie sekundy swojego życia, samotny wśród tysięcy, sam wśród ludzi i wśród morderców, wśród, może nawet, swoich najbliższych, patrzących mu w plecy z tłumy; bez prawa do ostatniego słowa i do ostatniego papierosa, którego smak jest mu tak potrzebny, żeby przez to przejść na drugą stronę...

A może człowiek myśli, że to wszystko jest snem, bo taki koszmarny w życiu nie jest możliwy? Może chce się szybko przebudzić i dlatego idzie tak spokojnie, nie patrząc na boki, z głową tylko spuszczoną na piersi; kłęką twarzą do grobli, w której widzi najmniejszą kruszynę piasku, tylem do plutonu mierzącego z karabinów — do niego i do innych kłęczących.

I potem ta ostatnia sekunda, chwila, niecierpliwie czekanie... Padły strzały. Kilku skazanców przewróciło się na twarz. Reszła kłęcząca. Ale skazani podchodzili piętnastkami, a pluton egzekucyjny liczył trzydziestu. Każdy skazaniec miał dwu strzelców. Jeśli nie trafił pierwszy, poprawiał go drugi. Wciąż znowu padły strzały. Tym razem przewrócił się wszyscy. Hulewiczowa już tego nie widziała. Osunęła się na ziemię. Potem, do końca egzekucji, jakiś mężczyzna zaciskał jej ręką usta.

I oczy. Wciąż nie widziała, jak niemiecki lekarz podchodzi do rozstrzelanych i kopie ich nogą w twarz, w brzuch, nie po to, żeby się pastwić, broń Boże, on chciał tylko sprawdzić, czy któryś przypadkiem nie zachował życia, czy nie udaje, czy nie jest tylko zraniony. Byli zranieni. Dobijał ich strzałami z pistoletu żołdak niemiecki o twarzy tępej i znużonej. Pochylał się i mierzyl dokładnie w skroń, i robił to mechanicznie jak maszyna.

A potem pierwsza piętnastka przysypała została słomą przegniłą i przyklejną następną piętnastką. I znowu słomą przegniłą. I następna piętnastka.

Sześć było piętnastek. Ostatnia, siódma grupa miała tylko dziesięciu skazanych.

A potem ludziom spędzonym z okolicznych wiosek i z wszystkich dzielnic Zgierza — kazano się rozjść. Natychmiast.

Mniej więcej około jedenastej w południe, Hulewicz i inni zgierscy zakładnicy rozrzucony po celach Radogoszcza — otrzymali grypsy, że egzekucja została wykonana, że im nie grozi na razie śmierć.

Ale Hulewiczowa o tym nie wiedziała. Była pewna, że wśród straconych był także jej mąż.

★

Mogiła zgierskich zakładników jest w lasach Łuźmierskich, parę kilometrów pod Zgierzem. Niewielki, ogrodzony sztachetami pomnik, trochę wieńców z ostatniej manifestacji, trochę liści z drzew, dwie tylko tabliczki imienne, pośrodku, z wytartymi napisami: Molenda Czesław, lat trzydziści i Franciszka Borkowska — bez wieku.

Na Placu Stu Poległych w Zgierzu, obok pięknej Tysiąclatki, w miejscu, gdzie skazani kłękali — pomnik przysypany jest kwiatami. Białe, czerwone, powiązane wstęgami, świeże, oczekujące rosą i deszczem.

Miejsce spoczynku Józefa Mierzyńskiego jest nieznanne. Wiadomo tylko, że w maju 1942 roku został ponownie aresztowany. 29 maja skazany na śmierć, a wyrok wykonano następnego dnia, o godzinie dziewiątej rano, w Łodzi.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Karinki z podróży

# W BEJRUCIE

## Dalszy ciąg ze str. 1

chem Żukrowskim pojechaliśmy na trzeci z kolei kongres pisarzy afro-azjatyckich, który od 24 do 30 marca br. obradował w Bejrucie. Poprzednia konferencja odbyła się w Baku, a pierwsza, przed dwoma laty — w Taszkencie. Oczywiście delegacja nasza, jak i kilka innych z Europy (belgijska, bułgarska, czeska, radziecka i węgierska) przebywała w Bejrucie na zaproszenie organizatorów — nieoficjalnie i w roli obserwatora. Językami kongresu były: arabski, francuski i angielski, ale w kulturalnych, jak w Wieży Babel mieszały się dźwięki mowy wszelkiej, głównie i przede wszystkim — egzotycznej. Przybyły delegacje z dwudziestu siedmiu krajów afro-azjatyckich, najliczniejsze wśród nich z Syrii, Zjednoczonej Republiki Arabskiej, no i, naturalnie, z Libanu, który udzielił gościnny obradom. Choć kongres poświęcony był sprawom literatury kontynentu afro-azjatyckiego, to jednak zarówno w referacie sekretarza generalne-

go organizacji, jak i wystąpieniach dyskusyjnych podejmowano problemy polityczne, dotyczące aspiracji narodowych młodych państw, walki z kolonializmem i dążeń wywoleńskich krajów uciśnionych. Można powiedzieć, że motywem przewodnim kongresu było mocne opowiedzenie się za pokojem na świecie, czego dowodem były nie tylko przemówienia poszczególnych delegatów, ale i przyjęcie rezolucji potępiającej politykę amerykańskiego podboju w Wietnamie. Nie brakło, rzecz jasna, sporów i polemik, miały one jednak charakter wewnętrzny, nie zakłócający w sposób zasadniczy głównego nurtu problemowego tej ciekawej konferencji.

W przerwach między obradami i w dniach wolnych zwiedzaliśmy stolicę Libanu i zapuszczaliśmy się w dalsze tereny. Sami gospodarze zadbałi o to, aby delegaci i zaproszeni goście nie spędzali całego czasu na konferencji i dyskusjach. Wyprawa do zamku szejka z plemienia dżurów, Dżumbłatta, zresztą zeuropeizowanego, lecz zachowującego tradycje, który wydał przyjęcie dla uczestników kongresu, stanowiła jeden z wielu uroków naszego pobytu w Libanie. Podobnie obecność na uroczystości odsłonięcia pomnika młodego szejka Gabera, który zginął śmiercią tragiczną w Ghanie, pozwoliła nam odczuć obyczaj i tradycje, panujące w tym kraju.

Nade wszystko podbiło nas samo miasto, rytm jego życia, nastrój ulicy. Bejrut, położony nad Morzem Śródziemnym u podnóża gór Libańskich, jednoczy dwa światy: arabski i europejski. W starej części miasta — styl orientalny, w nowej — współczesna architektura europejska: do-

my wysokie, kolorowe, o ciekawych rozwiązaniach konstrukcyjnych. Z okna nowoczesnego hotelu „Continental”, w którym mieszkaliśmy, otwierał się niezapomniany widok na Morze Śródziemne. Lubieć stać w oknie i patrzeć jak, w zależności od pogody, zmienia się powierzchnia morza. Gdy było rocznie, morze mroczniało, stawało się stalowe, nieprzyjazne. Lecz kiedy zabłysło słońce — widziało się co najmniej cztery strefy kolorów. Przy brzegu biała piana fal, dalej — zielonkawy obszar wody, potem — niebieski, a wreszcie — fioletowy, podchodzący aż do linii horyzontu. Był i dzień aury sztormowej: morze burzyło się, kocioło, kipiło; fala uderzająca z wściekłością o skały bryzgła strumieniem w górę i opadała, aby znowu, z jeszcze większą gwałtownością, napierać na kamieniste wybrzeże.

Liban liczy niecałe dwa miliony mieszkańców, a Bejrut — około pięćset tysięcy. Ale jest to kraj bogaty, zwany Szwajcarią Bliskiego Wschodu. Dzięki temu, że Bejrut na tym obszarze świata posiada najlepiej rozwinięty port, kwitnie tu handel, rozszerza się przeladunek, rośnie ruch tranzytowy, w tutejszych bankach cudzoziemcy chętnie lokują swoje kapitały. O swoistym charakterze tego miasta świadczy fakt, że działają w nim aż cztery uniwersytety: American University of Beirut, założony w 1866 r., Uniwersytet Arabski, powstały w r. 1960, Uniwersytet Libański od r. 1953 i francuski Université Saint Joseph, istniejący od 1881 roku. Zdołaliśmy obejrzeć jedynie amerykański ośrodek naukowy (gdzie, mówiąc nawiasem, studia są najdroższe), położony w najpięk-

niejszej części miasta, w dużym parku, z urzekającym widokiem na Morze Śródziemne.

Zawsze w czasie wszelkich zjazdów międzynarodowych następują nieoczekiwane spotkania, nieoczekiwane rozmowy. I tym razem nie mogło być inaczej. Oto któregoś dnia natrafiłem nagle na poetę Pawła Buńćaka z Bratysławy, z którym poznał się równo dwadzieścia lat temu, w Berlinie, podczas pierwszego powojennego kongresu pisarzy niemieckich, kiedy żył jeszcze i brał w nim udział Egon Erwin Kisch. Padamy sobie w objęcia — kłóż by z nas przypuszczał, że spotkamy się znowu i na domiar w Bejrucie? Oto rozmowa z Jewtuszenką w czasie górskiej wycieczki. Siedziemy obok siebie w autokarze, na świecie pada śnieg, wieje wiatr, jest dość chłodno. Robię jakąś uwagę na ten temat, a Jewtuszenko nagle: „Biedni Polacy! Znowu na szyję”. Dowcipny, wysoki, ma na nogach włoskie buty, na głowie modną „oprychówkę”. Nie był jeszcze w Polsce, ale ma nadzieję, że nas odwiedzi, bo właśnie ukazał się po polsku tom jego wierszy. Pyta, czy przekłady są dobre. Odpowiadam: dobre, wśród tłumaczy pana wierszy znajduje się sam Jarosław Iwaszkiewicz. Jewtuszenko śmieje się zadowolony.

\*\*\*

Bejrut posiada kilka twarzy. A więc Bejrut kolorowy. Nowoczesne budowie, sznury aut na ulicach, barwne wystawy sklepowe, zatrzymanie owoców południowych. Rosną tu cytrusy, pomarańcze, mandarynki, oliwki, banany, orzeszki ziemne,

## ADAM LEWASZKIEWICZ

Starszy sierżant Jan Kowalczyk, dyżurny posterunku MO w Debiu Wielkim, zagłębił się w lekturę gazety. Nie miał tego dnia dużo pracy. Za 10 dni kończył żywot stary, dobry rok 1965. Za godzinę Jan Kowalczyk zdawał służbę. I wtedy właśnie do dyżurnki we szła kobieta. Była zdenerwowana, zapłakana.

Przybyłej wysłuchano z urzędową powagą.

### 1.

„Kawaler, lat 35, ciemny blondyn, wykształcenie średnie chemiczne, dobre warunki materialne, spółdzielcze mieszkanie w br., zainteresowania: sport, literatura, TV — pozna pania 20—35 lat z wykształceniem średnim, może być z jednym lub dwójkiem dzieci”. Tak brzmiało ogłoszenie nr 36134/M, zamieszczone w czerwcowym biuletynie warszawskiego Biura Matrymonialnego „Syrenka”.

Zainteresowanie sportem wróżyło mężczyźnie zdrowego, zainteresowanie literaturą podkreślało cechy intelektualne, umiłowanie telewizji zapowiadało domatora. A poza tym to spółdzielcze mieszkanie i dobre warunki materialne... Napisała. Odpowiedź nadeszła nadszpedzanie szybko.

„Szanowna Pani! Proszę wybaczyć, że ośmieliłem się pisać nie znając Pani, ale za pośrednictwem Biura Matrymonialnego otrzymałem Pani ofertę, którą mnie szczególnie zainteresowała. Jestem kawalerem, mam 35 lat, oczy niebieskie, wzrost 170 cm, włosy ciemnoblonde. Posiadam średnie wykształcenie, pracuję w zakładach chemicznych na stanowisku mistrza produkcji z poborami 3700 zł miesięcznie. W bieżącym roku otrzymam spółdzielcze mieszkanie w Warszawie. Obecnie zamieszkuje w Olesinie u pewnej starszej pani, emerytki, jednak ze względu na dużą odległość do pracy przeważnie bywam u znajomych w Warszawie. Jeśli moja oferta Pani odpowiada, to proszę napisać o sobie, o swej pracy i życiu, z kim i gdzie Pani mieszka itp.

Z poważaniem  
Roman Zawadzki”

Drugi list zaczynał się: „Pani Krysio”, trzeci „Droga Pani Krysio”, czwarty „Kochana Krysio”. Spotkali się w miejscu niecodziennym, ale wydawało się romantycznym — na stacji kolejowej w Kutnie.

Jego wygląd odpowiadał ryso-pisowi. W pustej dworcowej restauracji, nieśmiało, jakby skrepowany, zadawał pytania. I mówił dużo o sobie. Znudziło mu się życie bez kogoś bliskiego, kogoś, kto umiałby porządzić, pocieszyć. Dostaje mieszkanie spółdzielcze, ale musi jeszcze jak najszybciej wpłacić ostatnią ratę — 8 tysięcy złotych. Teraz jedzie do Szczecina, do siostry, lekarce, żeby pożyczyć 5 tysięcy złotych.

— Szkoda, że ty nie masz pieniędzy — mówił. Trzeba będzie sporo na meble do no-

wego mieszkania. Stare meble nie będą tam pasowały.

— Szyj już sobie sukienkę do ślubu — mówił.

Patrzył na zegarek, jakby żałował czasu, który uciekał. Głos z dworcowego mefagofonu obwieścił nielitościwie pociąg pośpieszny do Szczecina.

Drugi raz spotkali się na stacji kolejowej w Sierpcu.

Znow jechał do swej siostry. Nie zastał jej nad morzem — bawiła właśnie ze swym mężem, głównym architektem Szczecina, na wczasach w Zakopanem. Mówił, że musi mieć te pieniądze, gonąc resztkami, nie ma nawet na powrót.

Data 300 zł na podróż. Trzeci raz spotkali się na stacji kolejowej w Kutnie. Wreczyła mu 7.100 zł, tyle, ile otrzymała za meble. Ustalił termin ślubu. Suknia była już gotowa.

Przez 5 długich tygodni w pustym mieszkaniu oczekiwała na wiadomość. Ani na czym usiąść, ani czym napalić w piecu. Zima bez mebli i pieniędzy. Nie odpisywał. Potem przyszedł ten ostatni list.

„Kochana Krysio! Muszę Ci z przykrością napisać, że teraz nie mogę przyjechać, bo jestem ciężko chory, a jest to choroba zakaźna. Jeśli nie wyleczę się z tej choroby, to odbiorę sobie życie, a jeśli się wyleczę, to przyjadę do Ciebie. Kocham Cie. Roman”.

List jakby pisany w biegu, pospiesznie, niedbale. Albo chora, trzęsąca się ręką, albo kreślony gdzieś — na stacji dworcowej, na kolanie, w krótkiej przerwie oczekiwaną na następny pociąg.

Zawadzki nie odpowiadał na listy. Z „Syrenki” nadeszła odpowiedź zarejestrowana pod nr L. dz. IV/270 IX/65.

„Szanowna Pani! W odpowiedzi na list Pani z dnia 30 XI br. z przykrością przyjmujemy do wiadomości podany przez Panią przypadek kradzieży pieniędzy. Należy, niestety, przedsięwziąć energiczne kroki i sprawę kradzieży zgłosić do MO, przy pomocy której zachodzi jedynie możliwość ustalenia tożsamości danej osoby i odebrania zabranych Pani przez niego pieniędzy. Zauważmy bardzo, że nie zastępnia Pani w naszym Biurze opinii o tym Pana, zanim zdecydowała Pani udzielić temu pożyczki pieniędzy. Zaznaczamy ponadto, że przy nawiązaniu znajomości należy zawsze zachować jak najdalej idące środki ostrożności. Z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku przesyłamy najserdeczniejsze życzenia”.

Tak to brutalnie wszedł Roman Zawadzki w życie Krysiny K.

„Na tym nasza korespondencja listowa, jak i spotkania urwały się — protokółował dyżurny milicjant posterunku MO w Debiu Wielkim. Zrozumiałam, że została oszukana przez w/w osobnika na sumę 7.100 zł pod względem matrymonialnym”.

### 2.

Ufście oszusta zlecono Komendzie Wojewódzkiej MO w Łodzi. Sprawę przekazano

dwóm doświadczonym oficerom. Z początku sądzili oni, że ujęcie oszusta będzie łatwe, a to z trzech powodów — znano jego nazwisko, rysopis i adres. Tymczasem sprawa zaczęła się komplikować.

W Olesinie koło Warszawy, w mieszkaniu Barbary D., na której adres nadchodziła korespondencja — Zawadzki nie mieszkał. W odpowiedzi na

na Zawadzkiego. Ponadto „Syrenka” poinformowała, że Roman Zawadzki nawiązał korespondencję z 71 klientkami. Romana Zawadzkiego zaczęto szukać w całym kraju. Jednakże gdy lista Romanów Zawadzkich przekroczyła 250 osób, i tej pracy zaniechano, tym bardziej, że nadszedł meldunek donoszący o tym, że jeden z Romanów Zawadzkich,

## Afera MATRYMONIALNA



pytanie czy nadechodzi dla niego jeszcze korespondencja kobieciną wyciągnęła kilkanaście listów. Zawadzki nie pokazywał się już jednak od kilku tygodni.

Barbara D., babka kłozetowa jednego z warszawskich dworców, mówiła:

— Poznałam go na włosno. Pytał czy nie upratąbim mu koszuł. Upratam raz i drugi. Potem zapytał czy nie przyjmowałabym adresowanych do niego listów. Obiecywał płacić 5 złotych za list. Przekazywałam mu listy w Warszawie. Płacił uczciwie. Kiedy przyszedł, nie wiem.

Sekretariat oszusta, prowadzony przez kłozetową babkę, naprowadził jednak na trop bogatej „uczuciowości” Roma-

mieszkaniec Poznania, zgubił wiosną 1965 r. prawdopodobnie w pociągu, służbową legitymację.

Pozostał tylko rysopis, a ten był już dokładny, przesłuchano bowiem i inne ofiary działalności Romana Zawadzkiego.

19 listopada 1966 r. porucznik MO, Wiesław D., odwiedził rodzinę w Poznaniu. Na stacji kolejowej jeden z siedzących na ławce mężczyzny wydał się porucznikowi dziwnie znajomy. Mężczyzna spojrzał obojętnie na milicjanta, zszedł papierosa i podszedł do kiosku z napojami, ale nie zdążył ugasić pragnienia, na peron wchodził pociąg. Był to pośpieszny do Szczecina. Przy stole, w czasie rozmowy

z krewnymi padło słowo „matrymonialny” i wtedy przyszło ośnienie. Porucznik zerwał się od stołu ze słowami: — „To Zawadzki” — wypadł z mieszkania. Dopadł taksówkę i pomknął na dworzec. Od dyżurnego ruchu połączył się z komisariatem kolejowym w Kutnie, polecając spisać personalia pasażera o podanym przez siebie rysopisie.

W dwa dni później do Zakładów Petrochemicznych w Płocku wkroczyło 2 milicjantów.

— Roman Jalocho? — zapytał mistrza zmiany.

— Tak — odpowiedział 38-letni technik-chemik.

— Jest pan zatrzymany — oświadczył.

— Czy chce się pan pożegnać z żoną?

— Nie — powiedział.

Napisał tylko kartkę: „Kochana żono! Jestem aresztowany. Za co, nie wiem. Nie czekaj na mnie, Roman”.

### 3.

14 marca br. o godz. 10 — Roman Jalocho vel Roman Zawadzki, spotkał się z Krystyną K. Kobieta bogatsza była o doświadczenia poprzednich spotkań. Jalocho zaś o nowe znajomości, m. in. z panią prokurator i dwoma milicjantami, którzy mu tego dnia towarzyszyli. Spotkanie miało miejsce także w Kutnie, tym razem w gmachu Sadu Powiatowego — z widokiem na dworzec. Oskarżony ogłosił z wielkim zainteresowaniem czubki swoich butów. Wysoki Sad w osobie młodej, pełnej wdzięku sędziny i dwóch ławników, przystąpił do pracy. Akt oskarżenia zarzucał panu Romanowi, że:

**Po pierwsze:** We wrześniu 1965 r. w Kutnie kłamliwie obiecyując Krystynie K. zawarcie związku małżeńskiego i zakup wspólnego mieszkania spółdzielczego, wyłudził od niej, bez zamiaru spełnienia obietnicy i zwrotu pieniędzy, kwotę 7.100 zł.

**Po drugie:** Także we wrześniu 1965 r. w Łodzi, kłamliwie obiecyując Danucie P. zawarcie związku małżeńskiego i zakup wspólnego mieszkania, wyłudził od niej, bez zamiaru spełnienia obietnicy i zwrotu pieniędzy kwotę 12.000 zł.

**Po trzecie:** W tym samym miesiącu 1965 r. w Koluśkach, kłamliwie obiecyując Marii B. zawarcie związku małżeńskiego i zakup mieszkania, wyłudził od niej 2000 zł.

**Po czwarte:** W okresie od czerwca do października 1965 roku, we Wrocławiu, działając w ten sam sposób wyłudził od Marii N. kwotę 14.700 złotych.

**Po piąte:** W październiku 1965 r. działając identycznie wyłudził w Laskowicach od Jadwigi S. kwotę 12.000 zł.

**Po szóste:** Latem w Białej Podlaskiej wyłudził od Bolesławy G. 500 zł.

Przed sądem przewija się długi korowód kobiet. — Oszu kanych i tych co oszukać się nie pozwoliły. Zeznania innych, dopiero „podrywanych” znajdują się w aktach. Nau-czytelka, krawcowa, rencist-

ka, ekspedientka, księgowa — mówią o metodach: — list, spotkanie na dworcu, wyznaczenie, ustalenie terminu ślubu, pieniądze i ten ostatni list — „Jestem chory zakaźnie, nieuleczalnie. Zegnaj. Jak wyzdrowieję, to przyjadę”.

— Proszę Wysokiego Sądu — mówi Jalocho, tęgawy, lysiejący blondyn. — Druga żona poznałem również przez „Syrenkę”. Żona moja jest despotyczna. (Drugiej żony osk. Jalocho nie było na sali, natomiast z uwagą śledziła proces jego pierwsza żona, z którą się rozwiódł). Chciałem się rozwieść. Pragnęłam poznać solidną kandydatkę. Przyjęte pieniądze traktowałam jako pożyczkę. Ożeniłbym się z kobietą, której stan majątkowy pozwoliłby mi na spłacenie długów. Podróże po całej Polsce, kwiaty — to kosztowało. — Czy mi się to opłacało? Nie robiłem tego dla przyjemności. Opłacało się, ponieważ chodziło o moją przyszłość.

W ostatnim słowie powie: — Proszę o jak najniższy wymiar kary. Pragnę wrócić do żony, wychować dzieci. Chciałbym jak najszybciej spać zaciągnięte pożyczki.

Sąd Powiatowy ocenia działalność Romana Jalocho łączną na 5 lat więzienia, 10.000 zł grzywny. Z powództwa cywilnego zasądza na rzecz Krystyny K. 7.100 zł, Marii N. — 14.700 zł, Danuty P. — 12.100 zł — z 8 proc. od dnia rozprawy.

### 4.

Dobiegła końca afera matrymonialna, w którą zamieszani byli: babka kłozetowa, ojciec trojga dzieci i kilka czy kilkanaście kobiet. Powód do śmiechu i powód do zadumy. Latwowierne kobiety kupowały oferowane przez Jalocho uczucie, osobę, rękę. Ku powąły naiwne, nie pytając, gdzie, w którym mieście, w jakiej dzielnicy jest to szczególne gniazdko, kto on zaczę — postępując wbrew zwykłemu życiowemu doświadczeniu.

Biura matrymonialne stały się ostatnio szansą dla nieśmiały. Szansa, z której korzysta się coraz chętniej. W NRF — 40 proc. związków małżeńskich zawarto w 1964 r. przez biura matrymonialne. Renomowane biura w innych krajach zatrudniają prywatnych detektywów, dyskretnie, szybko sprawdzających przede wszystkim stan cywilny kandydatów, eliminując w ten sposób oszustów. U nas nikt w biurach matrymonialnych tego nie czyni, ba, nawet nie sprawdza się dowodu osobistego kandydatów do małżeństwa. Wprawdzie nie zauważono u nas tabunów oszustów matrymonialnych, ale prostą i czynność nakazuje elementarna ostrożność.

P. S. W czasie przerwy w rozprawie — oskarżony R. Jalocho otrzymał aż 4 paczki ze śniadaniem. Od kogo? Te pozostanie tajemnicą, choć znać było w przrzedaniu kanapek kolebka reke.

A. L.

drzewa eukaliptusowe, a wysoko w górach — słynne libańskie cedry. Cedr jest tu drzewem nieledwie świętym, jest symbolem kraju. Na fladze państwowej na dole białego koloru pośrodku (u góry i u dołu koloru czerwone) widnieje cedr zielony, na monetach — cedr, pamiątki z Libanu — to m. in. maleńkie rzeźbione cedry. Niestety, z powodu dużych w tym roku śniegów w górach nie udało nam się dotrzeć do rezerwatu cedrów, które kiedyś występowały w dużych ilościach, a dziś znajdują się już pod ochroną i to w miejscach trudno dostępnych. Na ulicach i w lokalach ludzie ubrani po europejsku, ale także w strojach arabskich: biały lub bordowy fezy na głowach, duże chusty tzw. arabiję, przewiązane sznurem czyli kaftanem. Arabki o zastanętych twarzach do połowy lub całkowicie, na osiołkach, młode dziewczyny z nogami opuszczonymi ku ziemi. Widzi się i osiołki obciążone paczkami owoców czy innymi artykułami, a za nimi posuwających się leniwie Arabów. Nawet język w tym międzyrodowym mieście zawiera coś z mozaiki: na ulicy, w sklepach, kawiarni, urzędzie słyszy się arabski i francuski, ale także angielski, czasami niemiecki, czasami rosyjski, ba! niekiedy również i polski. Na szydach napisy arabskie, przypominające raczej jakieś fantazyjne wykresy, niż alfabety złożony z liter, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Miasto ruchliwe, niespokojne, krzykliwe, słowem — właśnie kolorowe.

Ale jest i Bejrut biedny. Na peryferiach spotykaliśmy lepianki: małe, ciasne, jedna

obok drugiej, w których mieszkają ludzie. Na dachach przyciśnięte kamieniami leżą kawałki papy, aby nie porzywał ich silny porывisty wiatr. Te skupiska lepianek to azyl dla uciekinierów z Izraela. Izrael nie jest laskawym dla Arabów, a kraje arabskie — dla Izraelczyków. Wobec ci, którym w Izraelu źle, uciekają do Libanu i gdzie indziej, gnieźdzą się w skleconych napredce lepianek i szopach, przypominających dawne koczowiska nad Wisłą, które tak plastycznie i przejmująco ukazano w filmie „Celuloza”. Widzieliśmy zaniedbane, brudne dzieci, walejące się po ulicach i placach, z rozbieganymi oczami, zapewne głodne i pozbawione opieki. Widziałem żebraków na chodniku. Na terenie wykopalisk rzymskich kilku źle odzianych włóczęgów przycepiło się do nas, by słżyć nam za przewodników. Zapytani, czy znają francuski lub angielski, odpowiedzieli: tak, ale rychło okazało się, że nie znają żadnego z nich, lecz szli za nami trop w trop, pokazywali jakieś odkopane kamienie, ślady po dawnych korytarzach, łaźniach i promenadach, w nadziei, że w swej szczerobliwości coś im za ich usługi „odpalimy”. Nad brzegiem morza grupy wyrostków „bez przwidziatu” psują się godzinami. Czy robia to z nudów, czy z braku zajęcia? W każdym razie ich wygląd i zachowanie się nie wskazywały na to, że wiedzie im się dobrze i że jadają regularne posiłki.

I jest Bejrut polski. Tak, tak, właśnie polski. Historyczny i współczesny. Stąd z Bejrutu Juliusz Słowacki pisał swoje piękne listy do matki i do pozostałych

w kraju przyjaciół. 17 lutego 1837 roku donosił w liście: „Uważam już podróż moją za skończoną prawie. Zwiedziłem Grecję, Egipt, Syrię, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bejrut”. Tu rozpamiętywał poeta swoją przeszłość, swoją wdrowkę, chodził na brzeg morza, patrzył na gre fal, na skały, chmury i słońce. Gościnni Libańczycy podarowali mu ogromną butle przedniego trunku, ale że osiołek nie mógł jej udźwignąć, przyniósł mu ją moczny, żyłasty chłob na własnych plecach. W Bejrucie spotkał się również z rodakami, którzy byli na służbie w baszy. Zapewne na tej podróży przyszedł mu nie jeden pomysł do wiersza, a może i dramatu. Nie on jeden znalazł się tutaj na tularzym szlaku polskiej historii. Na cmentarzu w Bejrucie pochowana została, znana w okresie między dwiema wojnami pieśniarka Hanka Ordonówna. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że los zaena ją aż do Bejrutu, gdzie umrze i już na zawsze w nim pozostanie. Patrzac na tę płytę z wyrzynnami na niej polskim nazwiskiem, zadumaliśmy się nad losami człowieka, a potem położyliśmy na jej grobie bukietek fiołków, kupiony na ulicy bejruckiej od kwiatciarki, ani się domyślającej, gdzie i komu złożymy go w dani.

Wyobraźcie sobie nasze zdziwienie, gdy w jednym z sklepów o pięknej nazwie „Beauty” przy rue Riad Solh natrafiliśmy na reklamową wizytówkę w języku polskim. Nie mogąc nie zacytować chociaż dwóch zdań z tej reklamy: „Wszystkim Polakom i naszym stałym klientom udzielamy odpowiednich rabatów. Przy dzieci, ohe



Jrzy jeie i przekona jeie sie sami. Badzele naszymi miłymi gosemii”. Ten niezardnie zredagowany i wydrukowany tekst kryje w sobie coś wzruszającego sympatycznego. Może pradziadek właściciela sklepu był Polakiem, uchodzącą z kraju? A może zapalał on miłością do Polski, co wcale nie jest rzadkim zjawiskiem za granicą?

Tak czy inaczej nie jesteśmy w świecie obcy i nieznan. W dalekim Libanie doświadczyliśmy dowodów gościnności i szczerego zainteresowania jako pisarzy. Głównie jako pisarzy z Polski. Ale przede wszystkim po prostu jako Polacy.

JAN KOPROWSKI

## Rozmowa z autorem

**ODGŁOSY:** — Jak może pan określić temat swojej powieści?

**L. GOMOLICKI:** — Będzie to książka o współczesności, o zagadnieniu współczesności, o współczesnej młodzieży, o problemach współczesnego życia i współczesnej sztuki, ze szczególnym uwzględnieniem literatury. Bohaterem jest współczesny człowiek, jego postrzeżenia i refleksje.

**ODGŁOSY:** — Holduje pan prozie afabularnej. Bez akcji. W poprzednich pana książkach wyczuwało się swoiste współgranie gatunków literackich, prowadzących tok utworu. Reportaż obok eseju, obok felietonu, czasami pamiętnik. Czy „Happening” wylamuje się z tej konwencji?

**L. GOMOLICKI:** — Nie. Jest raczej kontynuacją. Następną moją powieść, którą najchętniej zatytułowałbym: „Proza 10” („Proza” dlatego, że to jest właśnie proza. Nie powieść, nie nowela, nie szkic, a proza. „10” dlatego, że to będzie moja dziesiąta pozycja), też będzie kontynuacją afabularnego stylu pisania. Nie znaczy to, oczywiście, że ja pragnę za wszelką cenę komplikować formalnie swoje książki, że chcę utrudniać czytelnikowi ich percepcję, że chcę, poprzez udużnienie, przypodobać się krytykowi. Chodzi o to, że ten sposób pisania pozwala mi na przekazanie (w formie może najmniej przyjemnej) swoich poglądów, wniosków, a nawet, że użyję określenia dziennikarskiego: postulatów. To tłumaczy także obecność w moich książkach reportaży i eseju, gatunków, które w najlepszy sposób przekazują treści społeczne i treści związane z zagadnieniem kultury.

**ODGŁOSY:** — Kiedy możemy się spodziewać „Happeningu” na półkach księgarskich?

**L. GOMOLICKI:** — Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć.

A. M.

Znalazłem się w malej salce w rodzaju stolówki przyzakładowej. Zadnych śladów podwyższenia, nie z widowni. Zwykle stoliki, tłok dokoła, roznoszą coś do jedzenia i picia. W ogólnym zgiełku ktoś klaskał, aby zwrócić uwagę kelnera. Dopiero brzęk tłuczonego talerza wyróżnił awanturującego się: tegi, łysy, z przyprawionym nosem kłowna. I kelner też w roli kłowna albo kłown w roli kelnera; w cyrkowym stroju, z tacą i serwetką pod pachą. Demonstrowanie zwykłych, nużących gagów. W finale ekspozycji gość wyrwa tacę i bije nią po głowie kelnera z niespodziewanym efektem: teatralny gong, zwiający początek wydarzenia. Gość wsiadł na krzesło, teraz dobrze widoczny; prosi państwa, rozpoczynamy, mam zaszczyt zademonstrować happening. Zdjają marynarkę, zostając w samej podkoszulce z krótkimi rękawkami, rozchyłonej z przodu i widającej owłosioną pierś. Spodnie ma cyrkowego ekscentryka — szerokie, spadające.

Następuje skecz z kartą — gość wybiera danie: flaki. Czas oczekiwania wypełnia cykl abstrakcyjnych aforyzmów. Wreszcie — kelner: wleczę za rękę opierającą się dziewczynę. Podaje gościowi rzeźnicę nóż: w kuchni nie dali rady, może pan sam. — I gość, wypróbował ostrze: zgoda, ale przynieś miednicę i nastaw adapter na strip-tease. Dalsze sceny: parodia strip-tease'u, potem epizod zakućcia ofiary. Zresztą mało co widać, szamocą się na podłodze. Sentymentalna muzyka przerywana krzykiem, rżeniem rozpruwanej — motyw flaków. To jednak działa — pozostaje niesmak, lecz szok jest autentyczny. Gość woła: miednicę! Kelner podaje, ale przeznaczenie miednicy się zmienia: okazuje się, nie jest pusta, są w niej gotowane kluski czy coś w tym rodzaju i oni obaj z dziewczyną, która wstała zapinając suknie, zanurzają w tej mazi ręce i rzucają lepkiem obrzydliwym wprost w widzów. Na szczęście siedzieliśmy daleko. Ci, co byli bliżej, wycofywali się w panice, strzepując kluski z wieczorowych sukien, smokingów. Śmiech i przekleństwa pół serio, jakaś pani plakała. Więc finał z rumorem i wywołonym gwarem. Jak po awanturze, z której uszło się cało.

(Refleksja w komentarzu dźwiękowym: tak się rodzi nowa sztuka, która jeszcze sama nie wie nic o swoim przeznaczeniu. Jakież miejsce wyznacza literaturze? Obawiam się, że słowo nie zostało, jak dotąd, należycie i skutecznie z nią ożenione).

Byłem na koncercie polskich beatlesów. Chłopy w perukach. Wylazili ze skóry. Ale śpiewali zamiast big-beat swoje mocne uderzenie, a to nie brzmiało mocno. Nie mogło brzmieć mocno. Wrzeszczeli, wili się w drgawkach, gwałcili sprzęt dżazowy, a potykali się o te taśmowce, dawili się sylabami. Nikt tego nie rozumiał, a było oczywiście: należało przetłumaczyć im to jakoś dynamicznie, choćby — bij w bet. Mimo swej nonsensowności, byłoby bliższe bigbeatowym szalom.

(Właśnie to zagadnienie słowa! Choć kłopot z współczesnością jest głębszy. Od dawna literatura nie może uporać się z tym fantem, a może to właśnie i jest jej powołaniem — nieustające poranie się ze współczesnością?).

### Zasadniczy spór na temat happeningu. Powiedziałem:

— czy państwo naprawdę nie dostrzegacie, że tu tkwi coś, w rodzaju nieporozumienia, albo po prostu niedomyślenia? Szukacie dosłowności faktów, identyfikacji faktów zmyślanych (bo mimo wszystko przecież zmyślanych, czyli przedstawianych, demonstrowanych) z autentycznymi, poniekąd fikcją z rzeczywistością, w której wszyscy są uczestnikami wydarzeń i nie ma widzów, a zapraszacie na swoje wydarzenia, organizujecie widowiska. Wylizem sprzeczności na razie, a poza tym to, co pokazujecie, jest w zasadzie programem abstrakcyjnego kabaretu, który traci cyrkowym trikami, a jeśli już musi być epatującą groteską, to czemuż boicie się jakiegos podtekstu. Tej waszej formy starczy zaledwie na pierwszy okres nowości, snobizującej mody, słowem na bardzo krótko — przepowiadam też na-

### LEON GOMOLICKI

# HAPPENING

## Fragmenty nowej powieści

turalną śmierć: happeningi zabije nuda. Taka abstrakcja jest zbyt jednostajna.

Cóż pan proponuje — zapytał plastyk K., oczywiście tonem pobłażliwej ironii. Tak jakoś się ustaliło, że happeningi organizują plastycy. — Happening to rewia bez aktorów i bez literackich podtekstów.

Zona K. paliła papierosa, miała uśmiech medium. Siedzieliśmy w kawiarni, oczywiście modnej, i to utrudniało skupienie. Mimo to podjąłem dalszy ciąg myśli:

Nie wątpię jednak, że to się wkrótce zmieni i ta rewia nabierze jakiegoś głębszego sensu, choćby okrutnego sensu, a jednak. Coś chociażby z ostatniej fali filmów, dobierających wydarzenia całkiem rzeczywiste, choć skrajnie, brutalne, z założeniem na przykład: świat widziany okrutnym okiem, pozbawionym miłości. Ktoś przecież z pierwszych happeningów wynajął autokar i obwoził widzów po mieście, powtórzył to, zaistniaławszy taki czy inny filtr; patrzcie, ile pleni się makabry, obłędu, kretynstwa, pomieszanych ze sobą bez sensu, jak płwociny z błotem. Widzę jednak, że taki program poprzestaby na sytuacjach konwencjonalnych, uswięconych już w sztuce, a wskazywałby wyjście, tak właśnie — wskazywałby i wyjście, oczywiście, banalne; brak miłości przynosi cierpienie upadku i nienawiści, więc brakiem cierpienia jest miłość. Ale można pomyśleć o serii drugiej — doświadczenie rozszerzone na cały świat i pogłębione aż do różnych otchłani, kamera nie cofa się przed pokazaniem autentycznej agonii i autentycznego morderstwa, podobno reżyserzy filmów płacili za pozwolenie sfilmowa-



Fot. W. Parys

nia egzekucji. Zresztą koncepcja ta, jak najbardziej tu konsekwentna, jednocześnie, sam przysmagając, nie do zastosowania.

Plastyk K. z tymże grymasem własnej przewagi:

Starożytni, ci istotnie oglądali na arenie najautentyczniejszą śmierć, ale chyba pan nie proponuje, żebyśmy w kabarecie publicznie mordowali na przykład — niemowlęta. Według pana, zdaje się, miałyby to spowodować renesans moralitetów. Happening tym czasem to tylko stwierdzenie faktu, to jest — każdego faktu. Wychodzi ktoś i zjada jabłko, to wszystko. Może przy tym zaznaczyć, że to było jabłko Ewy lub Adama (ana tomiczne), albo jabłko niezgody, czy po prostu tak sobie, zwykle jabłko. Jak można tego nie rozumieć? W tym szeregu wszystkie fakty są sobie równe.

Zrozumiałem: happening jest życiem. Albo jeszcze dosłowniej: życie jest happeningiem.

wobec widzó w, tj. są nie tylko naturalni, lecz robią co robią zawsze, albo inaczej: nie robią nic takiego czego by nie robili w życiu. Tu przede wszystkim wylacza się pojęcie aktora, potem reżysera, a więc widowiska w ogóle, atrakcji.

Odpowiada mi pewnie przez swoje podobieństwo do żywiołu prozy. W prozie w każdym razie do zastosowania jak najbardziej — Te powiązania proszę przyjąć za dobrą monetę.

Wyjaśnienie znajomego malarza na moje pytanie o celowości współczesnej sztuki:

Utrwalamy kształt zużytych rzeczy, które aktywizują się w kategoriach piękna formy (autonomicznej).

Czy to program? Być może, ale żeby to zrobić, nie wystarczy chyba podnieść rękony na śmietnik stary pantofel i powiesić na ścianie. Tak mógłbym oponować, gdyby chodziło mi o polemizowanie. Ale nie chodziło. Stwierdzam więc jedynie fakt i widzę wspólną tendencję w innych dziedzinach sztuki. Bo czymże jest happening? Dowolną ilością jednocześnie odbywających się w y d a r z e n i a, złączonych ze sobą bez żadnego wartościowania czy doboriania demonstrowanych czynności. Ktoś wchodzi na drabinkę, ktoś pojawia się we fraku, bierze nożyczki i obcina jego popy, ktoś rozbiera się i owija taśmą z rolki papieru higienicznego — a wszystko w skupieniu, z zachowaniem powagi, aby widzowie (właściwie — świadkowie) nie wzięli wydarzenia za cyrk, rzeczywistość — za przedstawienie —

Tu przykład jak to zjawiska pozornie niepoważne mogą być motorem poważnych przemów:

Za mego dzieciństwa prasa światowa nadużywała dwóch atrakcyjnych wtedy tematów: publiczne awantury sufrażystek i publiczne awantury futurystów. Na zdjęciach umieszczanych w pismach: starsze panie, staromodne, w ówkiekach, tłuły szyby wystawowe sklepów i dzielnie walczyły parasolkami z londyńskimi bobbsy. Futurysty pokazywali się na ulicach — ku zgorszeniu normalnych obywateli — z włoszczyzną w butonierkach i emblematami malowanymi na twarzach. Ale jedne i drugie — a jeśli idzie o sztukę, to obchodzą nas głównie drugie — szukali w swym buncie (błazeńskim) środków wyprzedzenia czasu. Wyprzedzenia, oczywiście, swego czasu. Bo tropiąc przyszłość, której nie mogli widzieć jasno, tropili współczesną im rzeczywistość. Może nieco powierzchniowo tropili, zastępując konwencjonalnego pegaza samolotem. Już wtedy, u progu pierwszej światowej, zwrócono na to uwagę: naiwna fetyszyzacja, a mimo to — jak najbardziej w duchu czasu.

Ludzkość właśnie wypowiedziała wojnę przestrzeni (Lilienthal zlatywał na swojej maszynie z pagórka, robiąc skok na odległość trzystu metrów — obecnie mistrzostwem świata jest lot na Księżyc) i nie dziw, że przedmiot (maszyna) przesłonił ludziom resztę. Ale my teraz, po pewnym incydencie w znanym japońskim mieście, nie możemy już żywić tych samych uczuć (zachwyty) dla postępu technicznego. Pewnie dlatego też i happening rezygnuje z logiki, z filozofowania, z pointowania. I kto wie, czy nie jesteśmy w posiadaniu metody (w sztuce) właściwej w chwilach, gdy jesteśmy wplątani w happeningowe wydarzenia, które może wcale nie jest wydarzeniem już w takim stopniu, jak się to z bliska wydaje — niewydarzonym —



„Nie śalować starych nóg  
Niech się cieszy wielki Bóg  
Ze Sokrates prawdę zna  
Ze już wie! Ze wszystko ma!  
Ze już poszedł, hen, na

krancie  
On — najmędrzy, on —  
wybraniec  
Galgan z brzydka morda psa  
Poznał taniec, poznał taniec  
Hopsa, hopsa, hopsa — sa”.

(JULIAN TUWIM)

„Grek Zorba” należy do tych nielicznych dzieł, które wymykają się wszelkim rozsądnym kryteriom analizy krytycznej. Triumfalny pochód tego filmu przez świat, na pierwszy rzut oka wydaje się nieuzasadniony. Nie jest

Podobnie jak film włoski okazał się godnym spadkobiercą wielowiekowej tradycji sztuki włoskiej, tak i film grecki w swych najambitniejszych poczynaniach sięgnął do istotnych źródeł narodowej kultury. I tu otwierają się dwie drogi: albo współczesnej interpretacji dzieł antycznych, odsłaniającej ich ponadczasowość, bo związana z naturą ludzką żywotność, albo poszukiwania pierwiastków helleńskich, antycznego modelu wartości w Grecji dzisiejszej. Pierwszą drogą poszedł Cacoyannis w znanej nam „Elektrze”, Tzavellas w „Antygonie”; drugą drogę wybrał ten

Jackiewicz — człowiek był tak odważny, że ludzi uczynił bogami i tak rozsądny, że bogów obdarzył cechami ludzkimi. Starożytni stworzyli człowieka na boską miarę, lecz dali mu wszystko co ludzkie: namiętności i mądrość, szaleństwo i rozsądek, zmysły i duszę. Ten najwyższy i najpełniejszy, jak dotychczas ideał człowieka stał się fundamentem europejskiej cywilizacji. Renesans, rozdział chyba najwspanialszy w dziejach naszej kultury był wszakże próbą przywrócenia pełnego blasku, pełnej świetności temu ideałowi. Ow słońeczny, mądry humanizm zrodzony pod bez-

zachwalające najnowsze produkty plastycznego raju. Otóż filmowcy greccy sięgnęli do rodzimej tradycji nie tylko po to, by głosić światu nieśmiertelną chwałę swych przodków, ale po to przede wszystkim, by wy dobyć z zapomnienia, odkryć raz jeszcze i potwierdzić wartości helleńskiego humanizmu.

Nie znam powieści, której adaptacją jest film Cacoyannisa, dlatego mówić będę wyłącznie o zasługach reżysera. „Grek Zorba” jest dla mnie nade wszystko próbą bardzo gwałtownej, bardzo namiętnej polemiki z postawą rozpowszechnioną w kręgach dzisiejszych intelektualistów, a dająca się w swej najogólniejszej postaci sprowadzić do negacji życia i jego wartości. Dla Cacoyannisa życie jest wspaniałą przygodą pełną cudownych możliwości, podobnie jak było nią dla antycznych herosów. Tragizm jest jednym z elementarnych składników życia. System konwencji, system reguł gry, jakimi obwarował się współczesny człowiek, nie pozwala mu jednak zakosztować autentycznego smaku życia. Zorba jest wolny i kocha życie ponieważ nie uznaje konwencji, nie uznaje reguł gry. Do wszystkiego przykłada własną, osobistą miarę. Reaguje spontanicznie, żywiołowo. I na tym między innymi, polega owo szaleństwo, bez odrobiny którego — jak mówi — człowiek nigdy nie będzie prawdziwie wolny. Jego radość i ból wyraża się w tańcu, bowiem w tańcu można wypowiedzieć

siebie, podczas gdy język operuje już gotowymi stereotypami. Za pośrednictwem swego bohatera Cacoyannis afirmuje miarę jednostki. Ta w gruncie rzeczy apoteoza wybudowanego, ale porywającego indywidualizmu, stanowi ceną propozycję w dobie uniformizacji i standaryzacji człowieka.

Zorba jest nie tylko szalony, jest także mądry. Mądrość starożytnych znajdowała swój najwyższy wyraz w uniezależnieniu się od igraszek fortuny, zmienności losu. Zorba jest wolny, ponieważ rozumie bieg rzeczy i akceptuje go. Dlatego okoliczności zewnętrzne nie mają nad nim mocy. Zorba nie może ponieść prawdziwej klęski ani w momencie śmierci wdowy, ani w chwili finałowej katastrofy. Jedyny ratunek człowieka tkwi w samym człowieku, zdaje się mówić Cacoyannis, polemizując z przyjętym obecnie pojmowaniem człowieka jako przedmiotu, jako liścia bezwolnie miotanego wichrami wydarzeń.

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że cała polemika Cacoyannisa, jego propozycje myślowe i credo światopoglądowe wypowiedziane zostały nie tyle poprzez kreowanie konsekwentnej i harmonijnej rzeczywistości ekranowej, poprzez określony system inscenizacji, wybór stylu, ale poprzez człowieka, poprzez tytułowego bohatera. Samo stworzenie tej postaci jest już manifestem. Głina, z jakiej Cacoyannis ulepił swego bohatera ma w sobie z jednej stro-

ny pierwiastek filozofii stoickiej, z drugiej zaś epikurejskiej. Od stoików wzięł on pojęcie mądrości i wolności, od epikurejczyków umiowanie urody życia, piękna delfinów i szlachetnego smaku wina, radości zabawy i piękna kobiecego ciała. Zorba jest pełen zachwytu dla świata, ale zachwytu bezinteresownego. Świat stanowi dlań źródło rozkoszy zmysłowych, a zatem najwyższej dionizyjskiej formy radości. Ta dionizyjska iskra jaką reżyser teatralny w swe go bohatera i porte-parole godzi w konsumpcyjny charakter współczesnej kultury, windującej na piedestał wartości czysto materialne i użytkowe.

Tworząc Zorbę, cudownego Sokratesa tańczącego, pochodzącego z ducha słońecznego Hellady, Cacoyannis proponuje jako lekarstwo na chorobę wieku, kryzys naszej kultury — powrót do jej źródeł, powrót do tego, co jego zdaniem, najcenniejsze i najtrwalsze. Czy jest to propozycja realna, tzn. możliwa do przyjęcia i do zrealizowania? Nie felietoniście przy stoisz odpowiedzi na tego rodzaju pytanie.

Jedno pozostaje bezsporne. Jeżeli film Cacoyannisa działa jak uzdrawiające catharsis na nasze sterane różnorodnymi wątpliwościami serca, to dzięki prawdziwie ludzkiej, z ciała i duszy ulepionej postaci swego bohatera. „Jakże czarującym jest człowiek, jeżeli jest człowiekiem” — powiedział starożytny mędrzec. I to jest chyba najgłębszy sens pięknego filmu Michaela Cacoyannisa.

MARIA KORNIATOWSKA

## Sokrates tańczący

to wszakże żadne arcydzieło. W porównaniu z Godardem czy Antonionim film Cacoyannisa sprawia wrażenie tradycyjnego, chwilami staromodnego, nie wolnego od dźwięczności i pewnej teatralności. Tradycyjnie potraktowana fabuła idzie tu w parze z tradycyjną, aczkolwiek genialną grą aktorską, zwłaszcza wykonawcy roli tytułowej, Anthony Quinna. Pełno tu starych jak świat melodramatycznych wątków i konfliktów. No i co z tego? Wielkość tego filmu tkwi całkiem gdzie indziej...

Zasadniczą cechą nowego kina, jest, mimo pewnych cech wspólnych, szukanie własnych, oryginalnych dróg w płaszczyźnie kulturalnej określonego kraju. Tak dzieje się w Anglii, Francji, Czechosłowacji itd. Kinematografia grecka nie należała dotychczas do brylantów o najwspanialszym blasku, w diademu europejskiej X Muzy. Ale jej najwybitniejsi przedstawiciele: Cacoyannis, Koundouros, Tzavellas, a ostatnio Manoussakis zrozumieli, że ich wielką szansę stanowi możliwość wykorzystania wspaniałego dziedzictwa kultury helleńskiej.

że Cacoyannis realizując „Stelę” z Melina Mercouri, „Dziewczynę w czerni”, Koundouros realizując „Smoka”, Manoussakis — „Strach”. W kontekście współczesności powrót do tradycji antycznych, szukanie wciąż jeszcze żywotnych pierwiastków helleńskiego pojmowania świata, posiada znaczenie głębsze i wykraczające poza greckie granice znaczenia. Stanowi oryginalną propozycję filozoficzną, próbę wskrzeszenia bezcennych wartości klasycznego humanizmu. „Grek Zorba” wydaje się być manifestem, wyznaniem wiary tej nowej orientacji. Nawet świeżo upieczonym maturzystom nie trzeba chyba przypominać, że nasza cywilizacja i kultura czerpią swe życiodajne soki ze źródeł Hellady. Niewiele jest rzeczy, których by przed nami nie znali już starożytni Grecy. Ale abstrahując od nauki, filozofii, literatury, najcenniejszą wartością kultury greckiej był stworzony przez nią model humanizmu. Kultura grecka była kultura antropocentryczna i widziała w człowieku jedyną miarę wszechrzeczy. W owych czasach — powiedział pięknie Aleksander

chmurnym niebem Południa, przeżywa obecnie niewątpliwie kryzys. Wielorakie są jego przyczyny i różnorodne przejawy.

Już od czasów Dostojewskiego definitywnie zburzony został ów antyczny, pełen światła i radości model wartości ludzkich. Nastąpiła epoka powszechnego masochizmu. Wszystko co człowiecze stało się obrzydliwe. Wystarczy zajrzeć do twórczości Becketta, Geneta, Albee, Karty książek, płótna ekranów roją się od postaci półludzi, produktów epoki pieców, epoki tworzyw sztucznych i bomby atomowej, kultury masowej i homogenizacji, sfrustrowanych, wyalienowanych i co tam jeszcze. W końcu te cienie cienie, ofiary historii, społeczeństwa, albo biologii uznane zostały za ostateczną możliwość rozwoju człowieka.

Jednocześnie wokół nas postępuje wciąż i przybiera na sile, proces uniformizacji. Środki masowego przekazu bez końca powielają określone stereotypy wartości, stereotyp człowieka. Ludzie stają się w przerażający sposób sobie podobni. Śmieszni, zabiegani, zapatrzeni w reklamy



ROMAN ŁOBODA

## WARSZAWA — ŁÓDŹ 22<sup>16</sup>

Jest godz. 22.00. W przedziale pusto. Być może, że uda się nam uciąć małą drzemkę albo przynajmniej popaść w niewielką kontemplację, która tak bardzo konsoliduje umysł rozprasany przez współczesną cywilizację.

Pusty przedział, dudnienie kół i powolne zapadanie... Koniec marzenia. Jest godz. 22.05, wchodzi większe towarzystwo, pół wagonu napelnia radosna wrzawa.

A trzeba wiedzieć, że osobowy 22.16 nie jest jakimś tam sobie zwyczajnym pociągami; można do niego zdążyć z każdego niemal spektaklu teatralnego w Warszawie, no i oczywiście dojechać do Łodzi.

Niby nie, a jak wiele, jeżeli pomyśleć zdrowo o łączności kulturalnej terenu ze stolicą. Nasi artyści do Warszawy, a my za nimi pociągami. Powrót do rodzinnego łódzkiego zapewniamy PKP.

Otóż z żywiołowych reakcji towarzystwa, które napelniło przedział, zaczęło powoli wynikać, że to pielgrzymi, że wracają od Melpomeny stołecznej i są zdrowi. Weszła jeszcze jedna pani w średnim wieku z drugą panią w białych, długich pończochach i spódniczce zakrywającej górna część ud. Bardzo sympatyczne obie, milcząc usiadły. Pielgrzymi tymczasem doszli od ogółu do szczegółu i konkluzji: że „Dziś do ciebie przyjdę

nie mogę”, to udana premiera, tym bardziej więc udana, iż autorami „Dziś do ciebie przyjdę” nie mogą być Ireneusz Kanicki i Lech Budrecki „rodak łódzki” i literat naszego oddziału, który odjechał do Warszawy (nie oddział tylko Budrecki) po śpiącym pociągu 15.20. Można tym pociągiem zdążyć na „Radosne dni” Samuela Becketta („Współczesny”), na „Incident w Vichy” Artura Millera i „Zmierzyć” Izaaka Babla („Ateneum”), na „Króla czwartego” Stanisława Grochowiaka i „Pieszo w powietrzu” Eugene Ionesco (Teatr Polski) oraz na sztuki angielskich gniewnych: „Urodziny Stanleja” Harolda Pintera i „Nie do obrony” Johna Osborne’a (Teatr Polski i Współczesny). Można nim zdążyć, a jak ktoś nie zdąży, to trochę poczeka i w naszych teatrach sztuki obejrzy, gdy „sprawdzą” się w warszawskich.

Tymczasem pociąg 22.16 ruszył. Dudnił, dudnił, chrabotał i nawet nie spostrzegliśmy się, a Skierniewice za nami. Wyszliśmy na papierosa, bo przedział dla niepalących, patrzę, przecieram oczy... Tadeusz Łomnicki! Znaliśmy go, jak wiemy, twórcę wielu niezapomnianych postaci scenicznych. Ogromnie ucieszyłem się i pytam czy jedzie do Łodzi. Odpowiedział, że tak. Jeszcze bardziej uradowany za-

pytuje: na zawsze? Zasmucił się wiele, i widząc moją zasmucenie jał mnie pocieszać, że teraz już częściej niż dawniej, bo akurat kręci film, a później drugi ze Skolimowskim i w ogóle parę kilometrów, które nas dzielą, to właściwie nic. Nie to nic — myślę i patrzę z wiarą w jego twarz szczerą i rozumną. Gdy umysłowiłem sobie, że jedzie do nas po dwóch spektaklach niedzielnych, po dzielnym dwóch spektaklach gniewnego Osborne’a, to współczułem począłem jego trudowi mówiąc: po czterech godzinach wybebeszania się na scenie, jak można jeszcze w podróż puścić się, skąd te siły i hart?

Zaśmiał się tylko dobrotnie i powiedział: aktor musi kształcić nie tylko talent, ale i charakter. Jutro próba.

W filmie — powiedział domyślnie. Tak — powiedział — w filmie. (Zapewne widzieliście państwo w telewizji Tadeusza Łomnickiego jak szybkim krokiem przemierzał, z ukochanym naszym dorastającym wyżu Gajosem — pancernym, jak przemierzał ulicę naszego miasta).

Tak, powiedział, ale spojrzenie jakby zasnuła mgłą ciemną, a ja zadając sobie w duchu pytanie po pytaniu jakąż to niezręcznością mogłem uczynić słowna: — Nie lepiej wycisnąć, wyspać się i dopiero rano — pytam.

Nigdy po spektaklu nie kładę się od razu, więc lepiej jechać. I tak bym nie zasnął — dorzucam. Po chwili: nie podobała się panu sztuka?

Zaraz zrozumiałem: grubiański zabrzmiało słowo — wybebesza. A jednak — myśleć — coś jest w Łomnickim, co prowokuje to słowo. Jego bezkompromisowa pasja wleciała się w postać dramatu; jego gniew, strach i zachwalość każą zapominać o grze. On jest Konradem, M. Billem a nie sobą. Jest każdym z tych, których życie zmusza do „wypruwania sobie żył” w rozrachunku ze sobą i światem.

Tak jest w „Nie do obrony” Osborne’a. Ogromna rola: Bill Maintland, choć człowiek taki sobie. Zwyczajny. To „każdy” człowiek, którego w wieku dojrzałym (Osborne najczęściej porusza problemy wieku dojrzałego) dopadnie czas rozrachunku. Co się osiągnęło? Jakże mam możliwości? Dramat powszechny, którego kontury dopiero w świetle reflektorów zarysowują się ostro.

Bill jest tak prawdziwy za sprawą Osborne’a i Łomnickiego, że jakby ktoś grzech pierworodny z wnętrzości wyszarpywał. Dlatego użyłem słowa wybebeszać — powiedziałem.

— Monolog z Jones najbardziej — gościł się Łomnicki. — Jest pełen gniewu, roz-

paczy i rozczarowania — dorzucam.

— Czuję, że po tym monologu publiczność jakby odzrucła swój negatywny stosunek do Billa. To jest przełom.

Tak, Bill staje przed wyrwą, którą trzeba przeskoczyć.

— Od tego momentu sztuka nabiera akcentów wyraźnej moralizatorskich — mówi Łomnicki.

Przedtem bezczuciowość świata i pragnienie wyjścia z bezosobowości pcha Billa do erozji i egotyizmu.

— Bill Maintland to trudna rola. Znakomity i jedyny język w oryginale, jest wręcz kapitalny — mówi Łomnicki. — Jak londyńczyk Lindsay Anderson dawał sobie rękę z reżyserią na scenie polskiej?

— Znamy się od dawna i przyjaźnimy się — mówi Łomnicki — to nieprzeciętny talent reżyserski z przedziwnym zmysłem, który pozwalał mu nawet w obcym języku wyławić właściwe brzmienia i najtrafniejsze zwroty. Na przykład w tłumaczeniu było: „ten idiota wpadnie wreszcie pod tramwaj”, zamiast idiota powiedziałem na któregoś z prób: ten palant. Anderson podchwycił to natychmiast, wymakował brzmienie tego nieznanego mu słowa i, jak pan słyszał, jest palant.

Zmienił również tramwaj na autobus uważając, że lepiej

siedzi we współczesnej cywilizacji.

— Początek sztuki jest trochę mylący — zauważam.

— Myślił pan o pierwszej scenie?

— Ta scena — prolog sugeruje, że wprowadzając postęp techniczny i społeczny jest jakimś obsesyjnym wyznaniem wiary bohatera. Tymczasem z całości sztuki wynika, że postawa bohatera jest nihilistycznym protestem przeciwko automatyzacji i organizacji masowego społeczeństwa.

— Tak — mówi Łomnicki — również miałem pewne wątpliwości co do tej sceny: była nawet propozycja, żeby ją nieco zmienić, ale pozostaliśmy wierni autorowi. Wydaje się jakby wstęp został dopisany dla nadania sztuce szerszego znaczenia.

W Kolszkach biało pończochy tej młodszej pani mignęły nam w drodze do toalety.

— Ci gniewni dobrzy są do grania.

— Świetny jest Pinter — mówi Łomnicki. Głębszy od Osborne’a.

Jeszcze mówiliśmy to i owo. O Witkacym; a gdy „otworzyliśmy” różewiczowską „Kartotekę” pomrukując z zachwytem, Łódź się fabryczna zaczęła. Z trudem przetrwaliśmy gadulstwo i z zalem rozstali.

Z Warszawy do Łodzi naprawdę nie jest daleko.



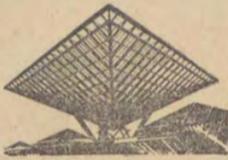
# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## EXPO 67

Do tej pory odbyło się około 30 wystaw światowych. Wystawa w Montrealu, Expo 67, która trwać będzie od końca kwietnia do końca października br. pomyślana jest jako największa i najwspanialsza. Jej tematem jest człowiek, jego działanie i twórczość. W wystawie wezmą udział 73 kraje, w tym 18 z Europy, 22 z Afryki, 11 z Azji. Koszt wystawy są olbrzymie i łącznie wyniosą około 1 mld dolarów. Najdroższy pawilon wystawia sama Kanada. Budowa ta wzniesiona jest w formie odwróconej piramidy i nosi nazwę „Katimavik”, co w języku Eskimosów oznacza miejsce spotkania się. Wspaniałe pawilony zaprezentują ZSRR, Stany Zjednoczone, Czechosłowacja i inne państwa. Dziewięćdziesiąt procent pawilonów jest już ukończonych lub na ukończeniu.

Expo 67 powstaje w 100 rocznicę istnienia Kanady. W roku 1867 sferderowały się brytyjskie kolonie Nowa Szkocja, Nowy Brunswik, Ontario i Quebec. Wówczas Kanada liczyła trzy i pół miliona mieszkańców, dziś ma ich 20 milionów. Montreal jest największym miastem kanadyjskim. Główny dworzec mieści się pod ziemią, w jednym z wieżowców pracuje 20 000 ludzi, metro jest najcięższe na



KATIMAVIK, kanadyjski pawilon w kształcie odwróconej piramidy

dowla będąca realizacją założeń architektonicznych Le Corbusiera.

Podczas wystawy w Montrealu odbędzie się wspaniały, największy dotąd na świecie festiwal kultury. Ogromna wystawa plastyki od czasów starożytności (gipsowe rzeźby sprzed 3 i pół tysiąca lat) aż po współczesne malarstwo i rzeźbę od Moore'a do Giacomettiego. Projektuje się międzynarodową wystawę fotografii, turniej poetycki, konkursy muzyczne, przedstawienia teatralne i baletowe najwybitniejszych artystów świata i najsłynniejszych zespołów, których wymienić nie sposób. Dość powiedzieć, że na wystawę w Montrealu zapowiedziało swój przyjazd dwadzieścia pięć tysięcy artystów z ponad dwudziestu państw. Przewiduje się, że na te imprezy zostanie sprzedanych ponad cztery miliony kart wstępu, a liczba zwiedzających wystawę osiągnie 40 000 000 osób.

## MUZEUM VAN GOGHA W AMSTERDAMIE

W Amsterdamie powstaje małe muzeum poświęcone życiu i twórczości Van Gogha. Według projektu budowlanego już przez władze państwowe, ekspozycja olejnych dzieł holenderskiego mistrza umieszczona będzie w jasno oświetlonych salach, zaś rysunki, którym światło mogłoby zaszkodzić, rozwieszono zostaną w salach odpowiednio przyciemnionych. Muzeum zawierać będzie 350 obrazów olejnych i rysunków Van Gogha.

## WISIELCZY HUMOR

„Pewien statek zatonał na morzu. Jednemu z pasażerów, Anglikowi, udało się uratować życie i dojechać do brzozy. Nie miał jednak pojęcia na ja-

ki łąd wyszedł. Błąkał się jakiś czas w gęstwinie krzewów, aż wreszcie ujrzał zabudowania. Na placu stała szubienica, a na niej kołysał się wisielec. „Chwała Bogu — wykrzyknął uradowany Anglik — jestem w kraju cywilizowanym”. Oto przykład prawdziwego wisielczego humoru zaczerpnięty z książki pt. „Livre blanc de l'humour noir” (Biała księga czarnego humoru) antologii zestawionej przez Michela Chrestien i Jean-Paul Lacroix. „Humor wisielczy jest śmiertelnym wrogiem czułości” — powiedział André Breton, który wydał m. in. książkę o wisielczym humorze.

W Anglii za przedstawiciela uprawiającego również piśmarstwo charakterystyczne jest wisielczym humorem uchodził Swift jako autor „A Modest Proposal”. We Francji tego rodzaju humoru można się dopatrzeć nawet w niektórych bajkach La Fontaine'a.

Wśród pisarzy zajmujących się tego rodzaju humorem, tych którzy zblekali jego przykłady lub sami go uprawiali, można wymienić nazwiska takie jak np. Stephen Leacock, Ambrose Bierce, Alphonse Allais, Eugene Mouton, Henri Monnier, Pierre Doris, a także Jean-Paul Sartre z jego „La rue des Blancs-Manteaux”.

## ZŁOTY MEDAL DLA CHARLES-ROUX

Edmonde Charles-Roux laureatka nagrody Goncourtów za powieść „Oublier Palerme” (Zapomnieć Palermę) otrzymała złoty medal od przedstawicielstwa miasta Palermę, gdyż jak stwierdziła tamtejsza rada miejska, autorka „po kazala w swej powieści wszystkie problemy społeczne ludu sycylijskiego”.



Foto. W. Parys

## KRONIKARZ ŁÓDZKIEJ MALARNI

Włodzimierz Parys jest nieoficjalnym, acz nader skrupulatnym kronikarzem łódzkiego środowiska plastycznego. Związany z Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych w której prowadzi pracownię fotograficzną, zwołany jest jednocześnie więzami towarzyskimi lub przyjacielskimi z wieloma artystami starszego i młodszego pokolenia. Wachlarz „usług” Parysa świadczonych artystom jest bardzo szeroki. Reprodukuje obrazy, grafiki i rzeźby, zdjęcia do katalogów i prasy, do archiwum fotograficznego szkoły, portrety poszczególnych twórców.

Te różnorodne związki z plastyką wywarły bezpośredni wpływ na twórczość fotograficzną Parysa. Ukształtowały w pewnym stopniu zarówno formę artystyczną wypowiedzi jak i samą tematykę. Dobrze opanowane rzemiosło pozwala Parysowi dowolnie kształtować fotograficzne tworzywo. Wrodzona skrupulatność i zamiłowanie do „dobrej roboty” chronią go skutecznie przed tanimi, jednorazowymi efektami.

Zakres tematyki, którą Parys bierze na swój warsztat jest szeroki. Wnętrza malarskich pracowni, sylwetki i portrety twórców, zdjęcia reportażowe a przede wszystkim twarze i sylwetki kobiet. Kobieta w jego twórczości zajmuje miejsce poczesne, jest swojego rodzaju obiektem, motywem powtarzającym się ciągle i w różnej wersji. Jest w tym jakieś poszukiwanie symbolu kobiecości, jakiegoś modelu współczesnej kobiety. Portrety, akty, dziewczyny ubrane i rozbrzmiane, upozowane i nieupozowane, brzydkie i ładne — wszystkie mają coś wspólnego, coś, co stanowi odcieczną tajemnicę, odcieczną zagadkę i Parys jakby chciał tę zagadkę rozwiązać, zestawia je obok siebie, przymierza, szuka wspólnego mianownika. Powstaje w ten sposób coś na kształt antologii współczesnej kobiety.

ANDRZEJ GRUN



HABITAT 67, blok mieszkalny którego projektantem jest Moshe Safdie

świecie, ponieważ wagony jeżdżą na gumowych kołach. I jest to pierwsze miasto, gdzie w banku wydaje się kobietom perfumowane czekolki.

Jak już pisaliśmy, monumentalną rzeźbą, stabilnym, na wystawie będzie „Człowiek” Cakera. Imponująca buwale wystawa Izrael. Będzie to dzieło architekta z Izraela, Moshe Safdie „Habitat 67”, zawierający 180 mieszkań, bu-

## POLONICA

WIĘCEJ NIŻ WSPÓLPRACA ARTYSTYCZNA

W numerze z 1 marca „Rudeho Prava” ukazał się artykuł pióra Josefa Doležala, w którym autor pisze o wrażeniach wyniesionych z pobytu w Łodzi i kontaktach między łódzkim Teatrem Powszechnym i praskim Teatrem S. K. Neumanna.

(...) Było to w czerwcu 1963 roku. Początek wspólnej pracy dwu teatrów, wspólnej pracy, która nie pozostawała tylko na papierze i nie zakończyła się na pierwszej wymianie. Przeciwnie, prze kształcała się w przyjaźń nie tylko artystyczną, ale i osobistą. I rozwijała się. Dyrektor administracyjny Teatru S. K. Neumann, tow. Ziegler, bo z nim się przypadkowo spotkałem, nie przyjechał tu tylko na otwarcie Teatru Wielkiego, ale również by omówić nową wizytę łódzkiego teatru w Pradze. Przyjechał do przyjaciół.

Z polskiej strony, jak wymaga tego protokół dyplomatyczny, mówi dyrektor i reżyser, Roman Sykala: „Mysle, że prazdom też się u nas podobało. Byli tu również w 1963 roku. Widzieliśmy i „Trzech chłopów w chałupie” i „W 80 dni dookoła świata”. A potem przyszła następna wymiana w 1965 roku”.

Otwieramy wydawnictwo poświęcone dwudziestolecu pracy teatru. W spisie sztuk jest także „Taka miłość” Kohouta, grana 43 razy, obejrzało ją 21.834 widzów. W wydawnictwie są też zaznaczone wyjazdy zagraniczne teatru. Oprócz Czechosłowacji, Jugosławii, Austrii, Węgry, Japonii... „Wszędzie było pięknie — mówi R. Sykala — ale z Teatrem S. K. Neumanna jesteśmy już jak dwie rodziny. Wymieniamy również pracowników technicznych, członkowie naszego zespołu jeżdżą na urlopy do Czechosłowacji, a przyjaciele z Pragi do nas, do Polski”.

„My czujemy się w Łodzi jak w domu” mówi tow. Ziegler. „Właściwie tak na pół to już u nas, bo ja i Lohnsky jesteśmy honorowymi obywatelami miasta”.

„Tak to właśnie rozumie my. I możemy też pochwałać się Czechosłowackim odznaczeniem. Zasługi dla rozwoju przyjaźni i współpracy” dodaje z uśmiechem R. Sykala. „Ale teraz już proszę na widownię. Zobaczą sztukę, z którą chcemy w tym roku jesienią przyjechać do Pragi. Jest to „Tango” Sławomira Mrožka. (w)

## POLONICA

## Notatki na marginesie

Drugi dzień świąt — więc wszyscy jesteśmy oziębli, nieco zmęczeni tradycją, wysokokalorycznym jedzeniem, ciążą gości. Dla relaksu wybieramy się do parku.

W parku im. Księcia Poniatowskiego — tłumy. Tym razem i aż do zmroku, kiedy to park zamienia się w dżunglę, alejki zaludnili ojcowie rodzin z małżonkami i pociechami. Starsi z niesmakiem patrzą na — jak zawsze — potłuczone lampy, na szczytki ławek, na rzucające się w oczy ślady wandalizmu.

Najwięcej tych potłuczonych lamp przed posterunkiem ORMO, na zapleczu muszli koncertowej. Bardzo to dziwne: widać, ormowcy z Parku Poniatowskiego barykadują się na noc w swej twierdzy. A może mają tam świetlicę i patrzą w szklany ekran, podziwiają dziełki (jak np. w Rio Bravo) szeryfów? I dlatego nie zwracają uwagi na brzęk tłuczonych lamp?

Wpadł mi w ręce numer zachodniemieckiego tygodnika „Spiegel”. W swej stałej rubryce filmowej zamieścił on tym razem recenzję z „Popiołów” Wajdy, wyświetlanych na zachodniemieckich ekranach pod zmienionym tytułem „Legionści” (Legionäre). Oto fragment recenzji.

„Narodowy epos Wajdy zrozumieł jego rodacy jako sąd nad narodem. „Spójrzcie jacy jesteśmy, pisal krytyk Andrzej Jancecki — okrutni, głupi ale wierni”

i dalej — zaczerpnięty z recenzji opis filmowego obrazowania „Popiołów”:

„Wajda rzuca do szturmu las bagnietów, ukazuje żołnierskie mordującą (...) zawadzających obłąkańców, gwałcone za konnice, szalejących wokół maruderów. Straszliwe maski, prowadzone z punktu widzenia militarnego po dyletan-

cku zmieniają się w melodramatyczne sceny i nie kończące się kawałki. Nigdy jeszcze konie nie zrobiły tak wiele dla filmu”.

Tyle z tej „interesującej” recenzji. Wstrzymuję się od komentarzy.

W naszym łódzkim muzeum sztuki — z jego nową ekspozycją — dzieje się to, co zazwyczaj przewidywamy w tzw. okresie dojrzewania przy jaźni: jesteśmy wciąż pod urokiem, ale już dostrzegamy i (któż ich nie ma?) wady.

Tym razem chodzi o wady niezawinione. Proszę, dokonajcie państwo następującego eksperymentu: najpierw proszę przejść przez całą ekspozycję w jej normalnym kierunku zwiedzania a następnie zawrócić i jeszcze raz obejrzeć wszystko idąc z powrotem — niejako „pod włos”.

Teraz możemy porównywać i wyciągać wnioski. Prawda, jaki tok panuje w części ekspozycji poświęconej sztuce nowoczesnej? Tu istotnie rządzą prawo współczesności: normy normowanej powierzchni na „lokatora”, „dokwate-

rowania”, hyperzageszczenie. Nie sprzyja to przejrzystości ekspozycji, stwarza nastrój niepokojny i przyprawia o oczopląs.

Jaka na to rada? Oczywiście — nowy gmach muzealny, nowa galeria. Ale to marzenia przyszłości. A na razie? Może wreszcie zdecydować się na heroiczną decyzję i na wzór warszawski (np. Dom Chłopa) przetrząść część parteru jakiegoś nowo wznoszonego gmachu na pomieścić ekspozycję. Oby tylko — przy Piotrkowskiej, w Śródmieściu!

Raduje nas coraz bardziej popularna konkurencja dla malarstwa typu „Jeleń na rykowisku” — mam na myśli sprzedaż i kiermasze reprodukcji malarstwa światowego, organizowane przez „Dom Książki”. Istotnie — i wybór świetny, i jakość reprodukcji często znakomita. Ale.

Ze też zawsze musi być jakieś ale! Tym razem chodzi o zjawisko aż nazbyt dobrane znane w naszej „Kulturze”. Impreza powyższa bowiem łączy piękne — ze swoicim pojęciem „pożytecznym”, i „Dom Książki” przy okazji „dreneuje” ile się

da! Cena dużej, zagranicznej reprodukcji waha się bowiem w granicach od 120—200 zł. Dom Książki oferuje nam je natomiast po opracowaniu za 400—500 zł.

Marszandzi zarabiali, co prawda, miliony na obrazach zaponanych z rzu, a później sławnych malarzy. Ale żeby robić — w ramach tak pięknej akcji — krocie na ramach? Fe!

Dziwne bywają losy książek. Zamykam drugi z wydanych w ZSRR dwóch grubych tomów dzieł zbiorowych Aleksandra Grina, zachwycony tą romantyczną a zarazem nowoczesną prozą — i myślę muszę nad zadziwiającym zjawiskiem przypływu i odpływu popularności pisarskiej.

Grin — zresztą syn polskiego powstańca z 1863 roku — był Sybirakiem, marynarzem, rybakim, myśliwym, poszukiwaczem złota, żołnierzem. To osobowość podobna do Londona. Materię arcybogactw do świadczeń życiowych przekształcił on w swym późniejszym dorobku piśmarnym (pisał w języku rosyjskim) w tworzywo fascynujące nie tylko relacją niezwy-

wych przygód lecz i surrealizmem wrecz kołorytem i kształtem formalnym. Do lat dwudziestych jego powieści i opowiadania cieszyły się ogromną popularnością. Potem nastąpił zmierzch i przyszło zapomnienie tak głębokie, że pewien ambitny lecz trawiony niemożnością warszawiak usiłował na wet jakąś jego nowelkę wydrukować pod własnym nazwiskiem. Sprawa na moment stała się groźna, mówiono już jednak nie o pisarstwie Grina, lecz o partactwie moralnym plagiatora. Wkrótce zresztą i to ucichło.

Lecz oto teraz, po czterdziestu latach, Aleksander Grin przeżywa w ZSRR swój renesans. Jego powieści i opowiadania, niesamowite, egzotyczne i pełne niedopowiedzianych podtekstów — szczególnie łatwo trafiają do młodego czytelnika. Warto do prawdy by przypominały sobie o nim i wydawnictwa polskie.

Wystawa Współczesnej Łeczyckiej Szuki Ludowej — bardzo piękna dla każdego, kto jest wrażliwy na uroki folkloru — powstała jako pokłosie konkursu o wie lu mecenasach. Ekspozowano ją zrazu w Łę-

czyzy — ostatnio zawędrowała do Łodzi, do gościnnego Klubu Dziennikarza.

Warto ją obejrzeć choćby po to, by choć chwilę uwagi poświęcić rzeźbom w drzewie starego Ignacego Kamińskiego ze wsi Oraczew, tym wszystkim urokliwym a naszym Miernikom, Borutom, Zydrom i Muzykantom.

I tylko jedna wątpliwość: czy Ignacy Kamiński jest istotnie twórcą ludowym? Moje pytanie brzmi jak herezja, lecz muszę je postawić, bo ta wątpliwość gnębi mnie już od dawna: Kamiński — prawdziwa i godna uwagi indywidualność twórcza — to przecież duchowy krewniak Nikifora i Ocieplki, tyle, że jego pasja to nie farby a tworzywo jeszcze oporniejsze: drzewo. A czy Nikifora nazwałby kto twórcą ludowym? Sprawa to wcale zresztą nie wydaje mi się białą grą pojęć fachowych: chodzi o rzecz ważniejszą. Sztuka ludowa — jak sądzę — to jednolity ciąg tradycji. A sztuka Kamińskiego go, to oczywisty i niepowtarzalny indywidualizm; wolny, jak sądzę, od zobowiązań tradycji. To sprawa wyłącznie Kamińskiego. Czy się myli?

WACŁAW BILINSKI

# W polskich butach do Mekki

**Z**emia była niewdzięczna, sucha, pozabawiona roślinności, jałowa kraina, pokryta bezową poświatą pustynnego pyłu, nieżyczliwa ludziom. Jakies 400 lat temu osiedlili się tu arabscy rybacy i plemiona koczujących Beduinów. Zylłi głównie z rybołówstwa, połowu krewetek, krabów, homarów i pereli. Kuwejt, mały słabo zaludniony szefkat, nie nie znaczący nawet na Bliskim Wschodzie. Ludność scalała się powoli, vegetując w biedzie, nie prze czuwając nawet przyszłości tej surowej ziemi. Nie będziemy opisywać jej 400-letniej historii. Tuż przed pierwszą wojną światową rozpoczęto poszukiwania ropy naftowej, a w 1946 r. rozpoczęto jej wydobycie na skalę przemysłową. Kuwejt znalazł się w centrum zainteresowania całego świata. Stał się jednym z najbogatszych źródeł ropy naftowej na świecie. Wprawdzie dziś 50 procent akcji towarzystw naftowych należy do Anglików, 25 procent do Amerykanów, a tylko 25 do szefka, ale i to wystarczy, by kraj wstąpił na drogę gwałtownych przemian gospodarczych i społecznych.

Maleńki kraj, położony nad Zatoką Perską ma 15 i pół tysiąca km kwadratowych powierzchni, około 450 tysięcy mieszkańców, których połowa (bo 206 tysięcy) przypada na stolicę o tej samej nazwie. Ten maleńki kraj jest przedmiotem dużego zainteresowania naszego handlu. Między innymi — mieszczącej się w Łodzi Centrali Importowo-Eksportowej Przemysłu Skózanego Skórimport. Kontakty handlowe z Kuwejtem utrzymujemy od 5 lat. Właśnie p. Roman Harasz ze Skórimportu powrócił z Kuwejtu, gdzie dokonywał kolejnej transakcji handlowej. Co sprzedajemy w tym kraju?

Przed wszystkim obuwie. Chodzą już od dawna po Kuwejt starogardzkie sandały, cieszą się uznaniem i zdobyły dobrą markę. Tak samo jak „dezerty”, czyli buty pustynne, welurowe bućki na mikro gumie, kolor bez (to ważne), sznurowane, co zapobiega dostawaniu się piasku do wnętrza. Podobno specjalnie praktyczne na pielgrzymki do Mekki. Innym typem popularnego pol-

skiego obuwia są półbutki bez sznurowania, łatwe do zdejmowania. Nóg kobiecych nie odziewamy. Panie w Kuwejt noszą pantofle orientalne, bardzo kolorowe, z dużą ilością złocenia — jednym słowem, nie nasza specjalność.

Skórimport ma zamiar zaoferować kuwejckiemu rynkowi teści i inne skórzane pomoce szkolne. Oświata jest tam bezpłatna, państwo wyposaża dzieci również w podręczniki, teści itd. Fakt, że umacniamy się na tym rynku, gdzie spotyka się ostrą konkurencję całego świata, chlubnie świadczy o naszych wysiłkach. Decyduje jakość towaru, terminowość dostaw, poważne podejście. Nie jest to rynek łatwy. Walkę konkurencyjną powiększa fakt, że handel jest zliberalizowany, nie ma żadnych ograniczeń cen. Tamtejsi kupcy są solidni, uczciwi i sympatyczni, ale trudni w uzgadnianiu warunków sprzedaży. Podane ceny nie uważają za ostateczną i to trzeba uwzględnić przystępując do rozmów handlowych. Za to czasu na pertraktacje nie żałują, rozmowa trwa nieraz 3-5 godzin i na zegarek spoglądać nie wolno, by rozmówcy nie dotknąć. Wypada natomiast popijać kawę lub herbatę, którą gościnnie podejmują, napoje mocne i aromatyczne, przyprawiane ząbkami korzennymi.

Nasz agent handlowy w Kuwejtce przejawia dużo inicjatywy, proponuje nasilenie akcji reklamowej, urządzenie wystawy towarów made in Bolonja, bo tak tam Polki nazywają. Skórimport nosi się z zamiarem zorganizowania takiej wystawy łącznie z innymi centralami handlowymi eksportującymi do Kuwejtu.

**K**uwejt jest krajem paradoksów. Pokryty siecią rurociągów naftowych, biegnących nad i pod powierzchnią piaszczystej ziemi, cierpi na brak wody. Woda jest tu droższa niż nafta, woda jest tu na wagę złota. Niedaleko, bo 17 mil od granic Kuwejtu płynie rzeka, ale rzeka ta należy do Iraku. Kuwejt nie ma do niej dostępu, nie pozwalają na to Anglicy i Amerykanie. Dlatego jedna z poważniejszych inwestycji rządowych są urządzenia doprowadzające i destylujące wodę morską.

W Kuwejtce są znakomite autostrady, najlepsze i najnowocześniejsze samochody zachodnie, z których obserwować można wtopione w krajobraz pustynny nędzne szalasy z papieru, tektury czy blachy, zamieszkałe przez robotników naftowych, głównie emigrantów z sąsiednich krajów, tu szukających pracy. Takie szalasy sąsiadują w niedalekiej odległości z małymi miasteczkami Ahmadi, największym portem naftowym świata. Luksusowo urządzone, zabudowane domkami w stylu angielskim, zamieszkałe przez naftową elitę europejsko-amerykańską, zazielenione roślinnością, która ochładnia wiele cennej wody. Posiada niecodzienną scenografię wiecznie palącego się ognia. Liczne źródła gazu wydobywającego się z ziemi zostały zapalone, by gaz nie zatrąwał powietrza. Szczególnie wrażliwy robi widok tych płonących punktów świetlnych, oglądany z lotu ptaka.

Rząd inwestuje duże sumy na oświatę, szkolnictwo i poprawę warunków bytowych społeczeństwa. Tekturowe szalasy znikają, ich mieszkańcy wprowadzają się do domów mieszkalnych, budowanych specjalnie dla nich. Z czasem znikną też orientalne, malownicze bazyry, na których można kupić dosłownie wszystko, od luksusowych artykułów francuskich, angielskich, niemieckich po najprostsze produkty żywnościowe. Rząd buduje obrzynie nowoczesne hale targowe, tam przenoszą swój towar kupcy.

**Z** jakich rozrywek kulturalnych może skorzystać Polak w godzinach wolnych od zajęć służbowych? Praktycznie z żadnych. Poza kinem (wyświetlającym głównie filmy arabskie) nie ma właściwie żadnych lokali rozrywkowych, teatru, imprez muzycznych itp. Telewizję oglądać trudno, bo program w znacznej

części wypełniają wielogodzinne przemówienia duchownych muzułmańskich, przywódców różnych sekt. Być może dlatego nadawanie reklam w trakcie programu jest tam zabronione. W telewizji występują głównie mężczyźni, jeśli pokaże się kobieta, to przeważnie Egipcjanka, nigdy Kuwejtka. Rząd patronuje rozwojowi sztuki, założono skromne na razie muzeum regionalne, które eksponuje m. in. prace kilku twórców w Kuwejtce-stolicy plastyków. Prace interesujące, oryginalne, łączące tematykę współczesną z tradycjami sztuki Wschodu, również formalnie starające się znaleźć własny styl, w którym znaleźć można i odbicie współczesnych kierunków europejskich i stare tradycje.

Na ogół jednak powiązań z kulturą europejską jest bardzo mało. Kuwejtczycy bronią się przed europeizacją. Kraj całkowicie muzułmański, po Arabii Saudyjskiej naj-

nich obowiązkowo białe pantaloony. A na ulicy nie pokazują się bez czarnego, długiego, obficie drapowanego płaszczu, który całkowicie ukrywa ich kształty. Na razie nie wskazuje na to, by chciały wyzwolić się z tych zawojów. Ale na przykład już w Pakistanie, kobiety róg takiego płaszczu zazwyczaj zarzucają na ramię, odsłaniając część spodniego stroju.

Mężczyźni również noszą ubiory tradycyjne, wierzchnim odzieniem jest obszerny płaszcz, sięgający ziemi, czarny, brązowy lub szary. Szerokość rękawów jest wprost proporcjonalna do zamożności właściciela. Jeśli ubierają się po europejsku, to bardzo skromnie, z dużym smakiem. Tradycje mają zazwyczaj także praktyczne uzasadnienie. Zakrywanie całej sylwetki płaszczem jest niezastąpione w czasie burz piaszczystych. Chroni przed piaskiem, który Europejczykowi wdiera się do uszu, gardła,



bardziej ortodoksyjny na Bliskim Wschodzie, ściśle przestrzega zachowania stylu życia i bycia. 28-dniowy ramadan, okres postu przed świętami Idów jest ogólnonarodowym obowiązkiem, tak samo jak zakaz jedzenia wiewprzyny czy picia alkoholu. Piwo, nawet w lokalach dla Europejczyków, nie jest podawane. Poprzedni szefek w testamencie zalecił całkowitą prohibicję na okres pięciu lat i wola zmarłego realizowana jest z całą surowością. Notabene uroczystości religijne rzutują też w pewien sposób na sprawy handlowe. Największe nasilenie zakupów ma miejsce przed świętami. Każdy, nawet najbiedniejszy Kuwejtczyk, musi na święta kupić sobie coś nowego. Z tym handel nie może się nie liczyć.

Surowe życie według wskazań Koranu, żadnych rozrywek typu europejskiego czy, tym bardziej, amerykańskiego, niemal całkowite zachowanie miejscowych tradycyjnych strojów. Kwef na twarzach kobiet trzy ma się jeszcze bardzo mocno. Meżatki noszą wprawdzie europejskie bluzeczki, ale do

oczu, za kołnierz, choć obrona przed tym żywiołem (chmury piasku wzbijają się na wysokość do 4 kilometrów) jest bardzo trudna, nawet w maskach osiada na sprężkach 3-4 mm warstwa piłu.

**Z** każdym rokiem Kuwejt zmienia oblicze, rozwija się, rozbudowuje, umacnia swoją pozycję w świecie. Gości na swej ziemi Europejczyków i Amerykanów, korzysta z ich doświadczeń technicznych, broni się przed wpływami ich kultury i obyczajów, które ze sobą przynoszą. Za 10-20 lat będzie całkowicie inny w zakresie uprzemysłowienia, budownictwa, rozwoju techniki. Czy uda mu się zachować własne obyczaje w nieskażonej postaci, żyć nadal według zasad świętej księgi — surowej i trudnej?

Notowała:  
TERESA WOJCIECHOWSKA

## \* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU \* PRZECZYTAJ W POCIAGU \* PRZECZYTAJ U DENTYSTY \*



Lewym  
okiem

### O TAJEMNICACH I GRZYBIE

Nie było w Łodzi nigdy zamków książęcych ani odciętych od świata klasztorów z labiryntem podziemnych krużganków, romantycznych komnat i lochów. Nie straszły tu białe damy, nie pływały złote kaczkę po srebrnych, zapadniętych w mrok jeziorach. Żeby choć jedna większa piwnica, jakiś zapomniany kanał lub opuszczone fundamenty, skryte pod warstwą — no, choćby dziesięcioleci, skoro o wiekach marzyć nie można... Jest! Mamy go! Był przecież browar Habbuscha z rozległymi ponoć piwnicami! I już cała prasa podkręca sensację: „Tajemnice parku Staromiejskiego”, „Tajemnice łódzkiego podziemia”... Zgłaszają się świadkowie i licytują się wzajemnie w kreśleniu ogromu lochów, w których kiedyś błądzili, lub o których im opowiadano. Relacje rozkłada się na malutkie fragmenty, żeby na dłuższą starczyło. Nareszcie jest szansa na odkrycie czegoś mało znanego na tym nudnym świecie...

Szansa odkrycia istnieje naturalnie dlatego, że kiedyś coś zostało zakryte, i to całkiem niedawno. Ale ja się nie śmieję. W takim wążeniu to najbardziej zakazanych dziur jest coś sportowego, coś co przypomina piękne wzruszenia dzieciństwa. Sam bym się ucieszył, gdyby nagle pod moim krzesłem w biurze otworzył się wąż do tajemniczych podziemi, choćby nawet okazały się później naszym własnym archiwum, zamurowanym przez przeoczenie razem z archiwistką podczas remontu. Nie śmieję się, trochę mnie natomiast martwią peany łódzkiej prasy na cześć świetnego łódzkiego piwa, które kiedyś leżakowało w setkach beczek pod dzisiejszym parkiem i może gdzie indziej też, trafiło podobno na rynki zagraniczne — a dziś? Gdzie ten cymes? Jakże doszukać go się w żółtym, gorzko-kwaśnym płynie o zapachu czkawki i wyrzutu sumienia?

I jeszcze niepokoi mnie myśl, dlaczego właściwie te podziemne magazyny zostały tak beztrosko zasypane? Jeśli głupie dwadzieścia lat temu były w pełni użytecznym odpowiednio przystosowanym pomieszczeniem użytkowym — to kto kazał zaklepać piaseczkiem wejścia, machnąć ręką na cenę inwestycji, walić miliony w budowę nowych „obiektów”, lub co gorsza — nie mając tych milionów za dużo — hamstę produkcję bez magazynów, bez zaplecza, z dnia na dzień, w nieustannej genialnej improwizacji?

Kto się zetknął z przemysłem ten wie dobrze, jak wazniutkim gardłem są magazyny. Chciałbym mieć absolutną pewność, że przynajmniej dziś — skoro przeszłości odwrócić nie można — miarodajne instytucje potrafią docenić i wykorzystać

wszystko, co się do wykorzystania nadaje. A właśnie podaje „Polityka” że rokrocznie tracimy w miastach około dwudziestu pięciu tysięcy izb mieszkalnych na skutek grzyba domowego. Jeśli nawet połowa tych izb wykruszyłaby się i bez grzyba, z samej starości, to przecież jeszcze dwanaście tysięcy rozsypuje się bez jakiegokolwiek losowej konieczności. Bo może tak je budowano, jak dom, w którym mieszkam. Stoi zaledwie osiem lat. Przez te osiem lat trzykrotnie ryto dookoła, zakładano studzienki, smolowano fundamenty żeby uchronić od grzyba. Raz tylko jakieś dziecko zapytało, dlaczego nie robiono tego od razu przy budowie. Dziecinne pytanie!

Ten sam numer „Polityki” podaje także, że średnia wielkość mieszkania budowanego w roku 1961 wynosiła 47,7 m. kw., a w 1965 — 39,3 m. kw., przy obowiązującym normatywie 44 m. kw. Żeby tak podczas budowy pamiętać o grzybie, to owych dwanaście tysięcy izb, zamiast się rozsypywać, rozłożyłoby się pięknie na pozostałe izby i normatyw dałby się utrzymać.

Bo chyba nie o to chodzi, żeby zdrowe, mocne piwnice postawić w odstawkę na dwadzieścia lat, a potem odkryć je jako tajemnicze lochy do zwiedzania przez wycieczki Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Ani o to, żeby nowoczesny blok stał się po kilkunastu zimach malowniczą ruiną, przysparzającą miastu posmaku sędziwości i historii. Bardziej chodzi o to, żeby piwo miało się gdzie odleżeć i nabrać smaku, a ludzie żeby chodzili na grzyby do lasu, a nie do własnej sy-pialni.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Billiński (redaktor naczelny), Konrad Frejlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. Zam. 966. IV. 1967 r. O-10.